

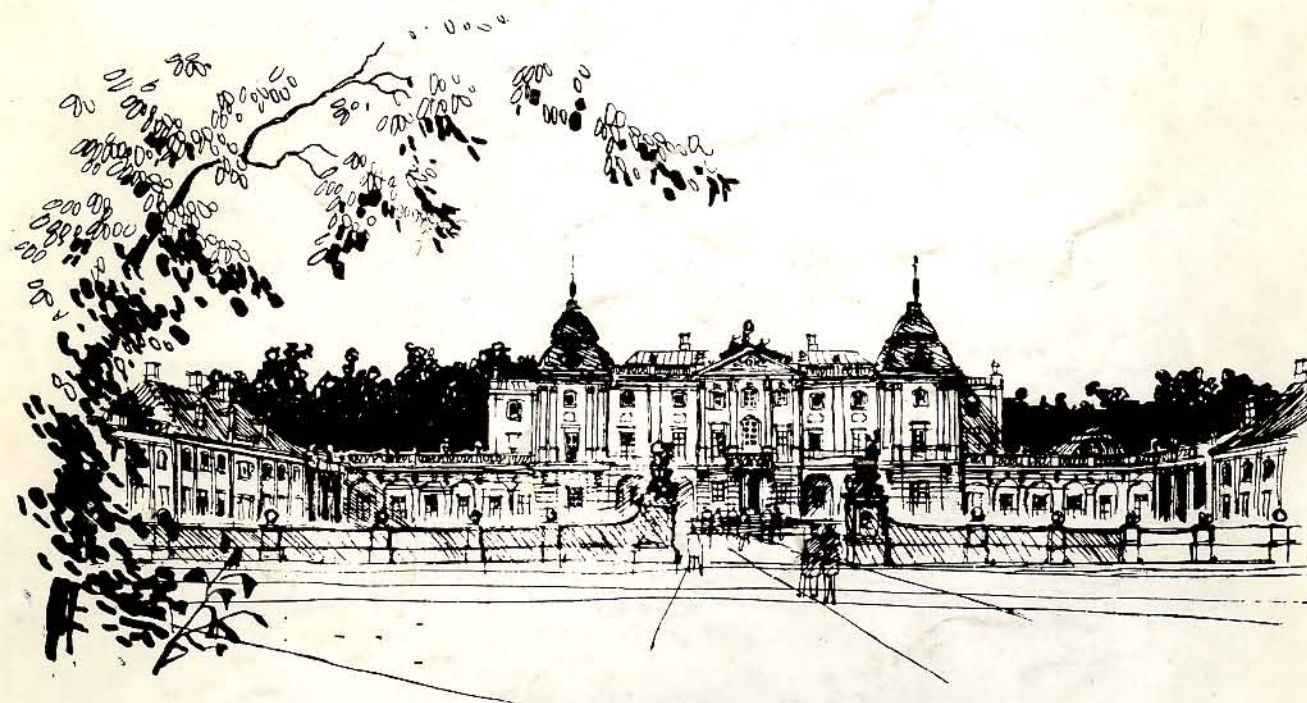
*W NASTĘPNYCH
NUMERACH*

- ♦ AFERA ZBOROWSKICH
- ♦ ODKŁAMYWANIE HISTORII
- ♦ NAJSŁYNNIEJSZE POJEDYNKI ŚWIATA
- ♦ Z CZEGO SIĘ UCZYĆ
- ♦ POLAK, LITWIN ... HISTORII
- ♦ KONFLIKTU CIĄG DAŁSZY
- ♦ O MALARSTWIE INACZEJ
- ♦ KORESPONDOWAŁEM Z MIŁOSZEM
- ♦ ODNALEZIONE
- ♦ W STARYCH SZPARGAŁACH

3 GRZYFITA

BIAŁOSTOCKI MAGAZYN
HISTORYCZNY

1994



D-1225/03.06.17.



010441

„...jako mówi Nazyanzenus;
zacna rzecz jest mieć rozum
pełny wiadomością historii,
bo historia jest mądrość w kupę złożona
i rozum ludzi wiele w jedno zebrany.”
Kto jej nie wie i w niej się nie kocha,
jest jako dziecię, które ojca i matki nie zna”

ks. Piotr Skarga

Drogiemu Jubilatowi
prof. dr hab. Andrzejowi Wyczańskiemu
długich lat w zdrowiu
i wielu sukcesów
na niwie naukowej

życzy redakcja „Gryfity”
i wszyscy pracownicy Instytutu Historii

Redagują: Iwona Pugaciewicz i Jan Leończuk
Instytut Historii Filii UW w Białymstoku ul. Liniańskiego 4 p. 76 Skład i druk: A&S Białystok
Konto: BGŻ – Białystok 805012-12742-271. Towarzystwo Przyjaciół Ziemi Zabłudowskiej
(z dopiskiem "Gryfity")

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zastrzegamy sobie prawo wprowadzania zmian i skrótów w materiałach przeznaczonych do publikacji.
ISSN

GRYFITA

BIAŁOSTOCKI MAGAZYN
HISTORYCZNY



SPIS TREŚCI

BIOGRAFIE

- * Cezary Kukło
W siedemdziesięciolecie urodzin
prof. dr hab. Andrzeja Wyczańskiego s. 2

KORRESPONDENCJE

- * Abraham Cykierl
Paradoks, któremu na imię... s. 4

REGIONALIA

- * Włodzimierz Jarmolik
Królowie Chanajek s. 6

- * Adam Czesław Dobroński
Wątki wschodnie
(Polesie powstańcze w ubiegłym stuleciu) s. 7

- * Jerzy Szumski
Ziemianstwo tatarskie w powiecie
sokólskim na przełomie XIX i XX w. s. 9

Z DZIEJÓW MORALNOŚCI

- * Iwona H. Pugaciewicz
„Nie nazywaj się synem moim, jeżeli tej hańby
nie powetujesz!” - czyli o honorowych polityczkach
Adama Tańty z Kazimierzem Poniatowskim
(cz. I) s. 11

- * Iwona Kulesza
Miłość w życiu siedemnastowiecznej damy s. 14

Z HISTORII SPORTU

- * Jan Snopko
Kobiety na „łączce” sportowej
- trudne początki s. 16

SENTENTIAE

- * Urszula Soja
O losie s. 18

DWUGŁOS W SPRAWIE

- * Alina Czapiuk i Małgorzata Moroz
O najnowszym podręczniku akademickim
J. Maternickiego, Cz. Majorka, A. Suchońskiego
Dydaktyka historii s. 19

UWAŻAJ, NA CZYM SIE WZORUJESZ!

- * Wojciech Fedorowicz
O książce Waltera Laqueura
Historia Europy 1945-1992 s. 20

PREZENTACJE, ZAPOWIEDZI

- * Janusz Smykowski
Klub szlachecki w Wilnie w latach 1856-1863 s. 22

- * Maciej Karczewski
Zaproszenie na wystawę
„Starożytności Litwy” s. 23

Z ŻYCIA INSTYTUTU HISTORII

BIOGRAFIE

W siedemdziesięciolecie urodzin prof. dr hab. ANDRZEJA WYCZAŃSKIEGO

Prof. dr hab. Andrzej Wyczański urodził się 13 kwietnia 1924 r. w Warszawie. Ojciec przyszłego historyka był sędzią i zmarł pod koniec wojny. Matka początkowo pozostawała przy mężu, później pracowała w banku. We wspomnieniach z dzieciństwa najchętniej wraca myślami do domu swojego dziadka. Domek z ogrodem położony w niewielkim Chodczu na Kujawach był wówczas miejscem spotkań całej rodziny. Profesor spędza tam nie tylko święta, ale również część wakacji. W pozostałych tygodniach wakacyjnych przebywa w Tatrach i na Wileńszczyźnie. Wybuch wojny 1939 r. zastaje w drodze do stolicy, dokładnie w Piotrkowie Trybunalskim, gdzie zatrzymał się u dziadków wracając z Zakopanego. Ma wówczas poza sobą trzy klasy gimnazjalne. Zakończenie działań wojennych umożliwia powrót do matki w Warszawie. Mieszka w niej aż do powstania, a po jego zakończeniu przenosi się do Krakowa.

W stolicy kontynuuje rozpoczętą jeszcze przed wojną naukę w tym samym gimnazjum – im. S. Batorego, ale już na tajnych kompletach Maturę zdaje w mieszkaniu dyrektora gim-



nazjum Radwańskiego przy ul. Chmielnej w czerwcu 1942 r. Świeżo upieczony maturzysta zamierza zdawać na tajną Politechnikę Warszawską, ale ponieważ nie było wymarzonej specjalności tj. budowy okrętów, trafia – jak sam mówi – "tymczasowo" do prof. Tadeusza Manteuffla, który wówczas prowadził sekcję historyczną na Uniwersytecie. Trochę za namową kolegów gimnazjalnych uczęszcza również na wykłady z filozofii (prof. prof. Władysława Tatarkiewicza, Tadeusza Kotarbińskiego, małżeństwa Marii i Stanisława Ossowskich).

Na drugim roku studiów na seminarium ze średniowiecza u T. Manteuffla pisze pracę dotyczącą stosunków etnicznych na Pomorzu Zachodnim w XII w. stosując metodę pokrewieństwa kulturowego przy pomocy wzoru matematycznego. Musiała być interesująca skoro kierownik seminarium podczas ich pierwszego powojennego spotkania pytał się właśnie o nią czy ocalała (niestety nie), a nie o rodzinę czy przeżyła.

W czasie powstania ranny granatem znajduje się w szpitalu. Rannym opiekuje się prof. Jadwiga Karwasińska, której zawdzięcza również naukę warsztatu historyka. Po zdobyciu przez Niemców Sadyby szpital ewakuuje się do Milanówka. Stamtąd jako tako podleczonego trafia do dziadków w Piotrkowie, następnie do matki w Kościelisku koło Zakopanego, a stamtąd w końcu grudnia 1944 r. do Krakowa. Tu nawiązuje kontakty z tajnym uniwersyteciem, który pamiętamy być bardzo mocno zakonspirowany. W tamtym "krakowskim" okresie cieszy się sympatią nie tylko dawnych przyjaciół, ale również profesorów UJ Władysława Konopczyńskiego, a przede wszystkim Józefa Feldmana. Przez pół roku tj. do niespodziewanej śmierci prof. J. Feldmana w czerwcu 1945 r. jest jego asystentem nie mając formalnie ukończonych studiów, co było sporym wyróżnieniem.

Pracę magisterską poświęconą stosunkom społeczno-politycznym na Pomorzu Zachodnim w XII w. przygotowuje latem 1946 r. pod kierunkiem prof. Romana Grodeckiego. Na podstawie żywotów świętych, źródeł archeologicznych i dokumentów stawia tezę, iż był to moment tworzenia się państwowości zachodniopomorskiej, a nie jak proponował prof. Oswald Balzer uznania Pomorza zachodniego za państwo państw.

We wrześniu 1946 r. opuszcza Kraków i na wezwanie prof. T. Manteuffla ma przystąpić do pracy w uruchamianym Instytucie Historycznym UW. Obok T. Manteuffla pracują tam J. Woliński, A. Gięsztor, Iza i Mariusz Małowistowie i nieco później S. Kieniewicz. Asystentami są wówczas obok Jubilata Jego pierwsza żona – Krystyna, Danuta Borawska, Jerzy Michalski, Krzysztof Wąsowicz.

Przez 10 miesięcy przebywa na stypendium we Francji co owocuje zebraniem materiałów do pracy doktorskiej (Francja wobec państw Jagiellońskich w latach 1515-1529, wyd. w 1954 r.), którą broni w 1949 r. Do końca atmosfera w Instytucie Historycznym UW jest dobra. Młodzi asystenci tworzą zgraną paczkę. Po godzinach przenoszenia książek do odtwarzanej biblioteki, wczesnym popołudniem idą do stołówki na obiad, a później na kawę do mieszkania T. Manteuffla. Tu omawiają wszelkie sprawy Instytutu (programy studiów, opieki nad studentami, uruchamiania biblioteki pozbawionej katalogu). Jednakże już na początku lat 50-tych daje się odczuć pewne "ciśnienie polityczne", a młodzi doktoranci z grupy prof. T. Manteuffla w większości bezpartyjni nie są dopuszczani do ćwiczeń ze studentami m.in. formalnie nie figurują w programie zajęć.

BIOGRAFIE

W styczniu 1953 r. zamienia pracę z Instytutu Historycznego UW na pracę w nowo powołanym Instytucie Historii PAN. Wprawdzie przechodzi do niego już po doktoracie, to obok Marian Biskupa jest drugim doktorem, który z powodów pozamerytorycznych w odróżnieniu od innych nie otrzymuje docentury, co więcej musi przedstawić pracę kandydacką. Ponadto współorganizuje i w latach 1949-1959 kieruje Stacją Mikrofilmową Biblioteki Narodowej w Warszawie, a zakupiony wówczas wysokiej klasy sprzęt jest wykorzystywany do dzisiaj.

W pracy badawczej interesuje się próbami reform i rozbudowniem dóbr w czasach Zygmunta I. Jednakże udział w słynnej konferencji metodologicznej historyków polskich i radzieckich w Otwocku skłania Go coraz bardziej w kierunku studiów nad folwarkiem szlacheckim uznanym przez ówczesne obowiązujące doktrynę za wsteczny i reakcyjny. Kwerenda wiejska, która miała służyć ukazaniu ukrytej przez historiografię burżuazyjną walki klasowej daje dostęp do licznych, ale fragmentarycznych materiałów w księgach grodzkich i ziemskich.

W 1956 r. w pierwszej polskiej wyprawie nauk społecznych do Paryża w gronie 30 osób znajduje się kilku historyków, w tym także Profesor. Kontakty ze słynną VI Sekcją Ecole Pratique des Hautes Etudes i osobiste z prof. Fernandem Braudel, późniejszym "papieżem" historyków francuskich nasuwają pomysł wykorzystania zebranych w kraju materiałów do próby budowy modelu gospodarstwa szlacheckiego. Jego realizacją jest książka "Studia nad folwarkiem szlacheckim w Polsce w latach 1500-1580 (wyd. w 1960), bez której trudno dzisiaj wyobrazić sobie naszą wiedzę dotyczącą podstaw gospodarczych średniej szlachty w XVI stuleciu.

W 1963 r. otrzymuje tytuł profesora nadzwyczajnego (profesor zwyczajny w 1971 r.), kierując już od dwóch lat w IH PAN Zakładem Dziejów Polski Przedrozbiorowej i jej Kultury oraz w jego ramach Pracownią Dziejów Rzeczypospolitej Szlacheckiej. To właśnie pracownia przez blisko 15 lat stanowi oczko w głowie Profesora. Jest ona próbą integracji środowiska, próbą badania podobnej epoki przez ludzi o różnym przygotowaniu i o różnych zainteresowaniach (prof. prof. M. Bogucka, A. Sucheni-Grabowska, A. Wawrzyńczyk, I. Gięsztorowa, J. Michalska, J. Tazbir, Z. Wójcik, L. Żytkowicz).

Lata 60-te i 70-te przynoszą dalsze ważne pozycje w dorobku naukowym Profesora. Chodzi nam tutaj przede wszystkim o Polskę – Rzecz Pospolitą szlachecką 1454-1764 (wyd. 1965, drugie zmienione wyd. w 1991), Studia nad konsumpcją żywności w Polsce w XVI i pierwszej połowie XVII w. (wyd. 1969, i w Paryżu w 1986), Polskę w Europie XVI stulecia (wyd. 1973) i w końcu serię wydawniczą "Społeczeństwo staropolskie" od 1976. Wszystkie one związane są w jakiś sposób ze szkołą "Annales". Uderzają w nich chyba najbardziej zupełnie odmienne traktowanie zagadnień kultury ujmowanej jako przemiany umysłowości, a nie jako opis przedmiotu wytworu kultury. Także badania nad plonami i konsumpcją nie stanowią celu samego w sobie, ale są drogą do prób rekonstrukcji gospodarki i zjawisk makroekonomicznych. Podobnie rzecz się ma z pracami poświęconymi alfabetyzacji, czy problemom demograficzno-społecznym.

Roczne wykłady (1970/1971) we wspomnianej już VI Sekcji Ecole... przyniosły nie tylko pogłębienie kontaktów ze środowiskiem historyków francuskich, ale wpłynęły również na podjęcie decyzji o trwalszym związaniu się z dydaktyką akademicką. W 1974 r. Profesor przyjmuje propozycje ówczesne-

go Prorektora UW ds. Filii w Białymstoku prof. Andrzeja Jęzierskiego i najpierw na godzinach zleconych, a od 1975 r. na pół etatu podejmuje pracę w Zakładzie, a potem Instytucie Historii FUW. Tutaj prowadzi przede wszystkim wykłady kursowe z historii nowożytnej Polski i powszechnej XVI-XVIII w. oraz uchodzące, w opinii studentów, za jedno z najtrudniejszych – seminariów magisterskich. Obarczony wieloma obowiązkami zawodowymi w swoim podstawowym miejscu pracy (Kierownik Pracownik Historii Polski Nowożytnej IH PAN od 1977 r., Przewodniczący Komisji Historii Gospodarczej Komitetu Nauk Historycznych PAN 1975-1993, Przewodniczący Miłośników Historii w Warszawie 1971-1992), nie uchyla się od nich także w białostockim Instytucie Historii. Przez dwie kolejne kadencje (1986-1991) jest naszym Dyrektorem, a od 1991 r. Przewodniczącym Rady Naukowej IH FUW. Pod Jego kierunkiem w 1989 r. dokonano rekonstrukcji Zakładów, nadając im nazwy obowiązujące obecnie; w 1990 r. wprowadzono nowy program studiów dziennych; upowszechniono zwyczaj wykładów równoległych. Wizytówką Instytutu stały się "Studia Podlaskie", których Profesor jest pomysłodawcą i gorącym rzecznikiem.

Jest z nami w Białymstoku także i teraz, kiedy obowiązki Profesora zwielokrotniły się. W latach 1990-1992 pełni funkcję Sekretarza Naukowego Wydziału I PAN, a od 1993 r. jest Wiceprezesem i Sekretarzem Naukowym PAN. I wprawdzie dzisiaj już nie przyjeżdża do nas pociągiem, ale rządową "lancją", to na Jego życzliwą radę czy pomoc mogą liczyć wszystkie koleżanki i koledzy i Instytutu, nie tylko uczniowie, co podkreślam z naciskiem. A trzeba dodać, że bywały i takie chwile w dziejach Uczelni białostockiej, że przy osobie Profesora Wyczańskiego skupiało się daleko szersze grono – cały Wydział Humanistyczny.

Na zakończenie warto przytoczyć zaledwie kilka liczb, którym to zresztą przed piętnastu lat Profesor poświęcił osobny szkic (Historyk wobec liczby, w: Metodach i wyniki. Z warsztatu historyka dziejów społeczeństwa polskiego, Warszawa 1980).

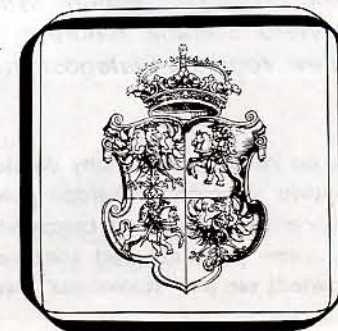
Jest On autorem 15 książek (w tym 2 podręczników) i blisko 400 artykułów opublikowanych w kraju i za granicą. Wypromował 8 doktorów, z których troje pracuje na Filii UW i około stu magistrów.

Trudno, a nawet bardzo trudno jest sobie wyobrazić rozwój białostockiego środowiska historycznego bez osoby Jubilata.

Cezary Kukło

Andrzej Wyczański

Polska
Rzecz Pospolitą
szlachecką



KORESPONDENCJE

Abraham CYKIERT

PARADOKS, któremu na imię ...

W listopadzie 1993 roku prof. Jan Karski odbył bardzo intensywną turę odczytową w Australii, spotykając się również z wieloetnicznymi przedstawicielami australijskiego życia politycznego, akademickiego i dziennikarskiego w Melbourne, Canberze, Sydney. Echem jego wypowiedzi jest m.in. artykuł w języku żydowskim, pióra redaktora Abrahama Cykierta z Melbourne, jaki ukazał się w tygodniku *Di ojsralische najes* (nr 11, vol. 56, 26.11.93). W świetle trwającego "polsko-żydowskiego dialogu" treść tego artykułu na pewno zainteresuje polskich czytelników. Nadesłali go: Andrzej S. Ehrenkreutz, syn ostatniego rektora Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie i mecenas Leon Lew, rodem z Białegostoku.

Stosunek Żydów do Polski jest podobny do stosunku Polski do Żydów. Po obydwu stronach są bardzo poważne grupy, wśród których emocje biorą górę nad rzeczywistością, osobisty stosunek do spraw przeważa nad społecznym podejściem, żadna wypowiedź nie jest "rozważana" starannie, lecz -

jak wahadło zegara - przechyla się z jednej strony na drugą. Sprawdzianem tych stosunków nie jest waga, lecz wahadło. Właśnie ci, którzy oskarżają "polski naród" jako społeczeństwo o antysemityzm, nie są w stanie zrozumieć, że oni robią to samo co polski antysemityzm czyni w odwrotnym kierunku twierdząc że: "Wszyscy Żydzi wysysają polską krew".

Emocje nie kierują się logiką i duża część polskich Żydów mówi o narodzie polskim pod wpływem emocji i cierpienia... Jest to zrozumiałe, ale nieuzasadnione.

Nie tu jest właściwe miejsce dla rozważań, dlaczego właśnie w Polsce wyrosło najsilniejsze plemię żydowskie w ciągu 2000 lat diaspory. Nie tu jest miejsce dla przypomnienia, że wtedy gdy Inkwizycja rozproszyła Żydów po całej Europie, w Polsce w ogóle nie było Inkwizycji. Należałoby może przypomnieć, że w tym czasie, gdy Ukraińcy tworzyli oddziały eksterminacyjne i współpracowali z niemieckimi mordercami, a policja francuska aresztowała francuskich Żydów i dostarczała niemieckiemu okupantowi listy z dokładnymi nazwiskami nieszczęśliwych ukrywających się Żydów - w Polsce nie było żadnej polskiej jednostki SS, a miejscowa policja, która współpracowała z Niemcami nie była pod kontrolą władz polskich i policjanci uważani byli za kolaborantów, a nawet za zdrajców.

Zaledwie tydzień albo dwa temu niezliczone setki Żydów w Melbourne przyszły, aby wysłuchać szlachetnego Polaka, Jana Karskiego (Kozielewskiego), opowiadającego o jego wstrząsającej historycznej misji w imieniu żydowskiego społeczeństwa w Polsce w czasie zagłady. Nikt nie śmie o nim powiedzieć, że jest on współodpowiedzialny za winy Polaków, ale - psychologicznie - uważa się Karskiego za unikat, który nie miał nic wspólnego z podziemną rzeczywistością Polski, która wówczas stanowiła tło dla jego działalności.

Gdy Karski mówi, że był tylko posłańcem, "skrzynką pocztową", "nagrana płyta z dobrą pamięcią", powstaje pytanie: czym był posłańcem? kto nagrał i co zostało nagrane na tej płycie posłańca Jana Karskiego?

A oto co on sam pisze o tym: "W lecie 1942 roku wezwał mnie Cyryl Ratajski, który był delegatem rządu na kraj i pyta, czy nie pojechałbym raz jeszcze jako kurier. Bo jak do tej pory miałem niesamowite szczęście. A miała to być już czwarta z moich podróży. Wyraziłem zgodę i zacząłem biegać po partiach politycznych. Trafiłem kolejno do Stronnictwa Narodowego, Stronnictwa Ludowego, Polskiej Partii Socjalistycznej i Stronnictwa Pracy. Osobistościami, które wtedy spotkałem byli: w Stronnictwie Narodowym Dębski i Jasiukowicz, w PPS - Pużak, w Stronnictwie Ludowym - Mierzwa i Korboński, w Stronnictwie Pracy - Kwieciński. Po czterech czy pięciu tygodniach znów wezwał mnie Ratajski i mówi, że sprawa jest nieco skomplikowana. W podziemiu działają dwie organizacje żydowskie i choć on niedokładnie orientuje się w ich geografii politycznej to wie, że jedna z nich jest syjonistyczna, a drugą tworzą socjaliści z Bundu. Obie dowiedziały się, że Witold - taki wtedy miałem pseudonim - jedzie do Londynu. Zwróciły się do Ratajskiego, by pozwolił użyć Witolda na tych samych zasadach, na jakich czynią to inne partie polityczne. Są obywatelami Polski i mają do tego prawo. Ratajski stwierdził: oni mają rację, choć powiedziałem im, że to pan musi jeszcze wyrazić zgodę, czy pan się tego podejmuje. Odpowiedziałem: naturalnie. I tak się zaczęła moja misja. Żydzi mnie do niej nie wybrali, ja byłem po prostu pod ręką."

cd. str.5

KORESPONDENCJE

Przytoczyłem tutaj dokładne tłumaczenie wywiadu z Karskim, wydrukowanego w warszawskim "Słowie Żydowskim" z dnia 27 sierpnia 1993 r. W tym oto tkwi ten wielki paradoks stosunków żydowsko-polskich w okresie zagłady. W czasie, gdy żaden inny naród w Europie nie liczył się z opinią żydowską, nawet ci którzy Żydom pomagali, warszawski delegat polskiego rządu w Londynie w podziemnym ruchu traktował żydowskie postulaty tak, jak postulaty równoprawnych obywateli i przekazał je wystannikowi.

Znów nasuwa się pytanie: Gdyby Ratajski zataił żydowską prośbę i powiedział, że wystannik nie wyraził zgody, czy ktokolwiek dowiedziałby się o tym?

Inicjatywa ta wyszła nie od szlachetnego człowieka Karskiego, ani od bezradnego wystannika. Karski wykazała swą wielkość poprzez wyrażenie zgody i wykonanie posłannictwa, ale inicjatywa wyszła - jakkolwiek dziwnym może to się wydawać - od najwyższych polskich rządowych czynników w okupowanej Warszawie.

W wygodnych warunkach wolności panującej w dzisiejszej Australii czy też Ameryce, czy nawet w Izraelu, łatwo jest mówić o moralnych zobowiązaniach, których Polska jako naród nie wykonała w stosunku do Żydów.

Ale właśnie Karski opowiada, że ci dwaj historyczni przedstawiciele warszawskiego getta jakoby powiedzieli, że ruch podziemny w Polsce "jest bezsilny gdy idzie o ratowanie nas, może ratować tylko jednostki".

Czyżby szlachetny, ludzki Karski mówił nieprawdę?

W tym samym wywiadzie mówi Karski, że już 10-go grudnia 1942 roku polski rząd na obczyźnie domagał się od Międzynarodowej Rady Wojennej, aby ogłosiła publiczną deklarację, czyniącą odpowiedzialnym za zbrodnie ludobójstwa cały naród niemiecki. 18-go grudnia minister Raczkowski napisał do Papieża list, w którym mówi: "U Twoich stóp Ojczy Świąty błagam o interwencję". Karski zakończył: "Odpowiedziało mu tylko milczenie".

Jest to bardzo dziwne. Jeszcze bardziej paradoksalne wydają się stosunki pomiędzy Żydami a Polakami, gdy czyta się prawie te same słowa w książce bardzo wiarygodnego żydowskiego pisarza, profesora historii w Ameryce i Izraelu, Dra Waltera (Zee'wa) Laqueur'a. On także twierdzi, że nie tylko w porównaniu z Łotyszami i Ukraińcami, ale nawet w porównaniu z Francuzami, Polacy zachowali się w owym czasie w stosunku do Żydów bardziej po ludzku, niż inni. W swej książce "The terrible secret" ("Straszliwa tajemnica") Laqueur mówi: "Jeśli wziąć pod uwagę przedwojenny antysemityzm, jaki panował w Polsce, nie to jest dziwne, że w Polsce zrobiono tak mało dla Żydów, lecz odwrotnie - należy podziwiać, że zrobiono tak wiele, choć była to zaledwie kropla w morzu." W tym właśnie tkwi ten paradoks. Jeszcze w tamtych dniach Churchill określił istniejące w Polsce warunki jako "wstrząsające", dodając: "W każdym dniu tygodnia Hitler mordował co raz to inny naród. Wyjątkiem byli tylko Polacy - ci byli mordowani każdego dnia".

W takich warunkach delegat polskiego rządu w podziemnej Warszawie oświadczył swemu politycznemu wystannikowi, że Żydzi widziani są jako obywatele posiadający te same co inni prawa. A jednocześnie tysiące Polaków żyło z pomagania w niszczeniu Żydów... Gdzie więc jest prawda? Kto ma rację?

Jedno jest pewne: Żadnego rządu w rodzaju Vichy Polacy

nie stworzyli, żadnej Quislingowej współpracy - jak w Słowacji - w Polsce nie było. Takich mordów jak i Kroatów, którymi oficjalnie chętno się, w Polsce nie było. Czy w tych warunkach można twierdzić, że grzech popełniony przez tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy zbroczył żydowską krew cały naród polski?

W taki właśnie sposób chrześcijanie grzeszyli przeciwko nam w ciągu prawie dwóch tysięcy lat.

Czy chcemy teraz powtórzyć ten sam grzech w stosunku do Polski?

Tłumaczył z języka żydowskiego S.R.

Przypisy tłumacza:

1) Treść wywiadu z Janem Karskim, zamieszczona w artykule A. Cykierta, nie została przetłumaczona z języka żydowskiego na polski, lecz przepisana bezpośrednio z "Głosu Żydowskiego".

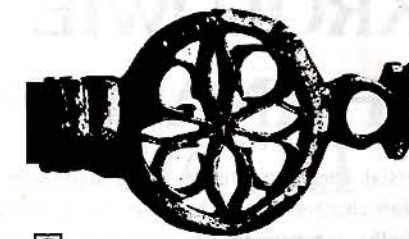
2) Raczkowski nie był ministrem w czasie, o którym mowa, lecz piastował urząd Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej.



HISTORIA POWSZECHNA

ANDRZEJ WYCZAŃSKI

WIEK XVI



71



ANDRZEJ WYCZAŃSKI

Polska w Europie
XVI stulecia

Włodzimierz JARMOLIK

KRÓLOWIE CHANAJEK

Czy ktoś dzisiaj wie, oczywiście poza naprawdę starymi i rodowitymi białostoczanami, jaką rolę w przedwojennym mieście nad Białką odgrywały tzw. Chanajki. Zapewne niewielu! Tymczasem Chanajki były dla Białegostoku lat dwudziestych i trzydziestych tym, czym ówczesny apaszowski Montmartre dla Paryża, brudny i ponury Whitechapel dla Londynu, przeludniony i groźny Chinatown dla Nowego Jorku czy tętniące gwarem okolice Kierce-laka i ulicy Krochmalnej dla Warszawy. Była to po prostu białostocka odmiana "dzielnicy cudów", wypełnionej złodziejami, sutenerami, oszustami i żebrakami, bez których nie może się obyć chyba żadne większe miasto.

Dzielnica ta, położona blisko śródmieścia, żyła własnym, odrębnym życiem. Między Lipową i Młynową, od Sukiennej do Ciemnej wito się kilkadziesiąt ulic, uliczek i zaułków, zabudowanych odrapanymi kamieniczkami, lichymi drewniakami, walącymi się ze starości ruderami. Chanajki przecinały trzy ważniejsze ulice: Sosnowa, Su-rażska i Krakowska, swoimi odnogami dzielnica ta sięgała Rynku Siennego i Rybnego.

Rynek żydowski

Na tym niezbyt rozległym, w porównaniu do całego miasta obszarze gnieździły się tysiące rodzin żydowskich robotników, chałupników ubogich sklepikarzy, duża rzesza bezrobotnych oraz mniejsza, ale za to prężna grupa zawodowych przestępców. Szczególnie złą stawą cieszyła się ul. Krakowska wraz z przylegającymi doń: Siedlecką, Cichą, Orłańską, Brukową, Marmurową i Pieszą. Był to prawdziwy młoteczko zbrodni i występku przedwojennego Białegostoku.

Dzisiaj, przy braku przedwojennych akt sądowych i policyjnych, głównym źródłem do poznania przedwojennego marginesu społecznego naszego miasta jest ówczesna prasa z "Dziennikiem Białostockim" na czele. Gazetowe kroniki kryminalne bardzo dokładnie relacjonowały wszelkie naruszenie prawa, podawały pełen personalia przestępców i ich ofiar, uwzględniały wiek tych pierwszych, miejsce zamieszkania, dotychczasową karalność. Na podstawie owego prasowego materiału łatwo daje się ustalić najbardziej aktywnych złodziei, oszustów i sutenerów chanajkowskich, których dziennikarze określali często mianem "królów" białostockiego świata podziemnego.

Najbardziej znanymi rzezimieszkami z przedwojennych Chanajek byli niewątpliwie dwaj szwagrowie - Jankiel Rozen-garten pseudo "Jankieczkie" i Samuel Gorfinkel, zwany "Kokoszka". Mieszkali oni w sąsiednich domach przy ul. Orłańskiej, w których prowadzili zakonspirowane lokale z wesołymi panienkami. Poza tym zajmowali się zawodowo włamaniami, rozprowadzaniem fałszywych dolarów i złotych, paserstwem i szulerką. O ich wyczynach pisały nie tylko miejscowe dzienniki. W 1933 r. kiedy pomiędzy obu chanajkowskim "królami" doszło do poważnego zatargu na tle podziału zysków płynących z prostytucji i Gorfinkel zabił nożem Rozen-gartena, historia ta trafiła nawet na łamy krakowskiego "Tajnego Detektywa".

W zaułku Chanajek mieszkali niewątpliwie najbardziej sprawni "klawisznicy" (złodzieje mieszkaniowi otwierający drzwi podrobionymi kluczami), "szopenfeldziarze" (złodzieje sklepowi), "szpryngowcy" (złodzieje okradający przedpokoje), "pajęczarze" (złodzieje grasujący na strychach), "lipkarze" (złodzieje zakradający się do mieszkań przez okna i balkony), "piechociarze" (złodzieje drobiu), "dolinarze" (złodzieje kieszonkowi), no i oczywiście kilku całkiem dobrej klasy "kasiarzy", czyli złodziei włamujących się do kas pancernych.



Terenem działania tego różnorodnego bractwa spod znaku łomu i wytrychu było całe miasto. "Spaleni" na jakiś czas w Białymstoku przestępcy udawali się na prowincję, na tzw. "gościnne występy". Chanajkowscy "kasiarze" pruli sejfy w bankach i kantorach Suwałk, Łomży, Jedwabnego, Wołpy czy nawet Brześcia Litewskiego. Z kolei "dolinarze" z ul. Krakowskiej, Pieszkiej i Marmurowej z upodobaniem pojawiali się na odpustach i jarmarkach w podbiałostockich miejscowościach, gdzie siali istne spustoszenie w kieszeniach prowincjuszy.

Chanajki były znane przed wojną nie tylko ze swoich sprawnych złodziei, ale również z bezczelnych "farmazonów", czyli oszustów w przeróżny sposób naciągających białostoczian i osoby przyjezdne. Po ul. Lipowej, Sienkiewicza czy Rynku Kościuszki zawsze kręciło się wielu sprzedawców tombakowych obrączek, fałszywych dolarów i losów na loterię. Po Siennym Rynku krążyli natomiast liczni naganiacze zachęcający do gier hazardowych, które odbywały się w bramach ul. Młynowej, Mazowieckiej, Pięknej i Malinowskiego. Wokół stolików szulerów gromadził się zwykle spory tłumek przybych na targ wieśniaków. Z karcianymi oszustami ściśle współpracowali złodzieje kieszonkowi i prostytutki. Odpowiednio rozstawione czujki ostrzegały przed zbliżającym się patrolem policyjnym. Takich zgranych zespołów żerujących na naiwności i głupocie ludzkiej było w Chanajkach wiele.

Powróćmy jednak do danych personalnych, tak dokładnie podawanych przez przedwojenną prasę. Oprócz Jankiela Rozen-gartena i Szmula Gorfinkla za "królów" przestępczych Chanajek uchodzili według białostockich żurnalistów m.in. także: kasiarz Mejer Krynicki vel "Krynica" z ul. Zielonej, doliniarz Szmul Zawiniński, zwany "Złotą Rączką", ciągle zmieniający adresy (ul. Pieszka, Orłańska, Krótka), Nochim Abelewicz, z zawodu rzeźnik, zamieszkały przy ul. Malinowskiego, który nocami dokonywał zuchwałych włamań do białostockich mieszkań. Na ul. Krakowskiej rej wodził Icchok Goldsztein, kolega po fachu Abelewicza (też był rzeźnikiem trudniącym się zawodowo włamaniami), "królem" ulicy Marmurowej nazywano z kolei Abrahama Duczyńskiego, znakomitego fachowca od kradzieży kieszonkowych, któremu w "pracy" dzielnie pomagała żona Rachel. Wspomnieć jeszcze wypada o innym Abrahamie, Kukawce, z ul. Sosnowej, cieszącym się opinią "szefa sztabu białostockich 'pajęczarzy'", Aronie Chazanie (ul. Brukowa), który wraz z braćmi i synami prowadził "rodzinny" interes złodziejski, a także Jojne Winogradzie, brutalnym sutenerze, Ela Mowszowskim, "królu" chanajkowskich paserów czy Pottyjerze Zundelu, któremu sławę przyniosły zręczne oszustwa i z uporem uprawiana szulerka.

W pierwszej połowie lat trzydziestych w "królestwie" przestępców chanajkowskich zaczęło dziać się nie najlepiej. Przyczyną był przede wszystkim światowy kryzys gospodarczy, który także dotarł na Krakowską, Orłańską i Cichą. W zaułkach Chanajek zaczęły się, czego wcześniej nie było, wewnętrzne wojny i porachunki. Śmierć poniosł oślawiony "Jankieczkie", jego zabójcą Szmul Gorfinkel uciekł za granicę. Białystok i Polskę opuścił również po kryjomu "król" paserów Ela Mowszowski, Mejerowi Krynickiemu sąd przypisał natomiast dłuższy pobyt w celi więziennej.

Złodziei o dużym autorytecie szybko zastąpili w Chanajkach młodzieńcy o prymitywnym i brutalnym usposobieniu,



Fragment dzielnicy żydowskiej

tacy jak Pottyjer Rozen-garten, syn zabitego "Jankieczkie" czy bracia Chaim i Oszeł Edelsztajnowie z ul. Pieszkiej. Szacunek, jaki w swoim światku dawni "królowie" uzyskiwali dzięki swoim zuchwałym "skokom", ich następcy starali się zdobywać za pomocą terroru i gwałtu.

Zawodowi "klawisznicy" i "dolinarze" schodzili z drogi młodym osłom, nie proponowali im złodziejskich spółek, ani też nie zapraszali do biesiadnej kompanii. To już nie były te same Chanajki, jakie ukształtowały się w ostatnich latach istnienia Imperium Rosyjskiego i pierwszym dziesięcioleciu Polski niepodległej.



Adam Czesław DOBRONSKI

WĄTKI WSCHODNIE

POLESIE POWSTAŃCZE W UBIĘGŁYM STULECIU

Historycy wojskowi skłonni byli postrzegać Polesie jako romb w granicach: od zachodu rzeka Bug na odcinku Brześć-Dorohusk (110 km), na północy szosa Brześć-Słuck-Bobrujsk-Mohylew, na południu linia (kolej i szosa) Dorohusk-Kowel-Równe-Żytomierz-Kijów, a na wschodzie rzeka Dniepr od Kijowa po Mohylew (375 km). Zwracano także uwagę na przedłużenie na zachodzie pod postacią bagien Tyśmienicy i Wieprza, na północy Jasioty, Płocza i Berezyny, na południu Turii, a na wschodzie Soża i Desny. Zarazem jednak w granicach opisanego rombu cech typowych dla Polesia nie posiadała część południowo-wschodnia, od rzeki Uż. Łącznie obszar podlegający analizie liczył około 139 tys. km kwadr. W XIX i początkach XX w. były to powiaty: piński, mozyrski, rzeczycki, bobrujski i częściowo słucki, ihumeński guberni mińskiej; powiaty: brzeski, kobryński, częściowo prużański i stoniński guberni grodzieńskiej; zwiahalski i owrucki guberni

wołyńskiej, części powiatów: mohylowskiego, rohaczowskiego i homelskiego guberni mohylowskiej oraz część powiatu radomyskiego guberni kijowskiej. Stosowano i inne kryteria podziału Polesia, a w okresie dwudziestolecia międzywojennego utrwały się ostatecznie nazwy Polesie Zachodnie i Wschodnie.

Polesie to kraina błot, pisków i lasów, poprzecinana licznymi rzekami i kanałami. Dokładne opisy cech geograficznych zawierają liczne monografie i przewodniki. Wysięk marszowy po tzw. bagnach ciężkich nie przekraczał 8 km na dobę. Stosunkowo łatwo można tu było maskować ruchy wojsk własnych i niszczyć systemy łączności przeciwnika. Taki teren sprzyja działaniom śmiałym, ale pod warunkiem dużej dyscypliny wewnętrznej manewrujących oddziałów, dobrej znajomości okolic, wystarczającego wyposażenia i zaopatrzenia.

W polskich pracach historyczno-wojskowych z ubiegłego stulecia Polesie uznawano za "wielki pas przedni" (Ludwik Mierostawski), bardzo trudną przeszkodę dla wojsk regularnych, gigantyczny klin oddzielający północno-wschodni teatr działań wojennych (od Bramy Smoleńskiej) od południowo-wschodniego (od Odessy i Kijowa). Najpełniej kwestie tej omówił Jerzy Niezbrzycki w pracy: "Polesie. Opis wojskowo-geograficzny i studium terenu." Warszawa 1930 r.

Pomijam interesujące walki partyzanckie na Polesiu w trakcie wyprawy Napoleona na Moskwę w 1812 roku. Rosjanom sprzyjały błędy popełnione przez cesarza Francuzów, zwłaszcza niedocenicenie kierunku na Ukrainę.

W 1831 r. strona polska nie zadbała o możliwie szybkie przeniesienie działań ofensywnych za Bug. Nie przewidziano tu organizowania "małej wojny", choć ta forma walki okazała się skuteczną w niektórych rejonach Królestwa Polskiego, w tym i w pobliskiej Puszczy Białowieskiej. Nie powiodła się wyprawa gen. Józefa Dwernickiego. Miejscowi patrioci nie znaleźli odpowiednio silnego poparcia na Polesiu, lepiej pod tym względem było na Podolu (drobna szlachta) i Wołyniu (ziemiaństwo). Również jednak wojska rosyjskie nie zdołały uporać się z trudnościami komunikacyjnymi na Polesiu i łączność między Litwą a Wołyniem utrzymywano aż przez Mozyrz i Bobrujsk.

O wiele bogatsza jest historia wydarzeń na Polesiu w 1863 r. Poprzedzające wybuch powstania demonstracje budziły nadzieję na aktywniejszą postawę ludności, zwłaszcza w zachodnich połaciach omawianej krainy (Brześć, Pińsk, Stuck, Stonim). A jednak w styczniu 63 roku nie odnotowano tu żadnych wystąpień zbrojnych. Niespodzianką stał się "zuchwały napad powstańców na Prużanę" partii Romana Rogińskiego, przybyłej z Podlasia po przegranej 7 lutego pod Siemiatyczami. Przez sześć tygodni ten odważny dowódca szachował garnizony carskie w prużańskim i kobryńskim, imponując szybkością ruchów. Nie uzyskał jednak poparcia organizacji miejscowej, musiał skapitulować. Zdaniem Agatona Gillera przegrana Rogińskiego poważnie zaszkodziła w przygotowaniach do własnej inauguracji działań zbrojnych.

Historycy często powracają do działalności Romualda Traugutta, od początków maja 1863 r. dowódcy oddziału z powiatów kobryńskiego, prużańskiego i brzeskiego. Potrafił on wykorzystywać warunki terenowe i w celu uzyskania zaskoczenia przeciwnika (przykładem bitwa pod Horkami). O przegranej zaś (Kołodno 12-12 VII) w dużym stopniu zadecydowały trudności aprowizacyjne, dotkliwe wskutek stałej presji ze strony szybkich grup kozackich.

Zachowały się materiały o innych jeszcze partiach powstańczych walczących na Polesiu (Szczęsny Włodek - korzystał w pow. prużańskim ze schronienia w ostępie "otoczonym zawałami drzew i bagnami"; Jan Wańkowicz-Leliwa, Kazimierz Narbutt - sukcesy kawalerii powstańczej, Gustaw Strawiński-Młotek, Florenty Stasiukiewicz), tu przybyłych z Białostockiego (Onufry Duchyński, Edward Kiersnowski, Kazimierz Kobylński, Walery Wróblewski). Jest jeszcze szansa dotarcia do nieznanych źródeł archiwalnych i pamiątek rodzinnych, muzealnych.

Nasilenie walk przypadło na maj-czerwiec, zatem porę względnie suchą. W porównaniu z przeciętną dla Królestwa Polskiego tutejsze oddziały miały wyższe stany osobowe (nawet do 800 osób?), przy gorszym jednak uzbrojeniu. Bardzo przydatnymi okazały się służby leśne, zawiedli natomiast chłopci, znacznie częściej wydający powstańców w ręce sołdatów i kozaków niż pomagający im. Jest to przyczynek do badań nad Poleszuchami.

Ogółem według zestawień Franciszka Guściory (Powstanie styczniowe na Polesiu, Brześć 1937 r.) w 1863 r. doszło tu do 27 bitew. Działania te były w większości typowe dla "małej wojny". Po stronie powstańczej za znamienne uważa się stałe próby łączenia mniejszych grup i ustanawiania regulaminów. Z dezaprobatą odnoszono się do dowódców unikających walk i mimo niewielkich efektów stale przypominano o obowiązku odczytywania manifestów, tłumaczenia ludności wiejskiej perfidnych założeń polityki carskiej. Opanowano sztukę wystawiania pikiet i opuszczania obozowisk w trybie alarmowym. Rosjanie z dobrym skutkiem używali taborów partii "leśnych", wycinali "tryby" i obsadzali je posterunkami, wyjątkowo starannie przygotowywali się do ataków, zapewniając sobie wyrażną przewagę liczebną.

Nie udało się przetrzymać zimy z 1863 na 1864 rok. Powstanie więc wygasło, trwały natomiast nadal represje władz carskich. Temat przeze mnie podjęty zasługuje na dalsze badania, łącznie z penetracjami terenowymi. Doświadczenia z tamtego okresu starano się wykorzystać w wojnach dwudziestego wieku.

Polesia czar

Polesia czar to dzikie knieje, moczary.

Polesia czar to smętny wichurów jęk.

Gdy w mroczną dal wstają z bagien opary,

Me serce drży, dziwny ogarnia lęk.

I słyszę, jak z głębi jakaś się skarga miota.

Serce tęsknota każe o Polesiu śnić.

Czasem słychać z bliska głuszcza krzyk,

Albo gdzieś daleko lasia ryk.

Nie wróć już dni tak wymarzone.

Serce, tak bardzo wytęsknione każe o Polesiu śnić.



Jerzy SZUMSKI

Ziemiaństwo tatarskie w powiecie sokólskim na przełomie XIX i XX w.

"Z różnym powodzeniem zajmuję się historią ziem północno-wschodniej Polski w XIX w. Ostatnio w centrum zainteresowania: rodzina i lokalne społeczności ziemiańskie."

Tatarzy ziemianie w XIX w. - właściciele majątków ziemskich w ówczesnym powiecie sokólskim - pochodzili głównie z osadników wojskowych, którym król Jan III Sobieski nadał w 1679 r. ziemię w ekonomii grodzieńskiej w okolicach Sokółki i Krynek. Wcześniej osiedlili się Tatarzy gospodarscy w Dziemidkowie w pobliżu Kuźnicy. Pierwsze znane nadanie gruntów w tej miejscowości pochodzi z 1486 r.

Artykuł nie dotyczy własności Tatarów w okolicach Krynek (grupa wsi na czele z Kryszynianami). Kryniki do 1944 r. nie wchodziły w skład powiatu sokólskiego. Tatarzy z tego powiatu należeli do gminy mużułmańskiej w Bohonikach.

Osadnikom przysługiwało prawo wieczystego użytkowania ziemi z obowiązkiem służby wojennej. Własność zwierzchnia gruntów pozostała przy królu. Dopiero sejm w 1786 r. majątki Tatarów ekonomicznych uznał na dobra dziedziczne. W rezultacie osadnictwa powstały folwarki - własność dowódców i oficerów oraz gospodarstwa posiadane przez żołnierzy (towarzyszy). Te pierwsze korzystały z pracy chłopów poddanych. W 1789 r. w 16 folwarkach w pobliżu Sokółki (grupa bohoniczka) znajdowało się 45 dymów chłopskich. Właściciele tych folwarków, ich następcy i potomkowie, tworzyli w pierwszym rzędzie XIX-wieczne ziemiaństwo tatarskie.

Podstawę źródłową artykułu stanowi ewidencja prywatnych własności ziemskich sporządzona przez rosyjskie władze skarbowe do celów podatkowych (zespół akt Inspektora Podatkowego Powiatu Sokólskiego w Archiwum Państwowym w Białymstoku).

Określeniem "prywatna własność ziemska" obejmowano po uwłaszczeniu grunty dworskie (niezależnie od wielkości majątku) oraz nieruchomości mieszkańców miast. Również parcele z gruntów dworskich, zakupione przez chłopów i innych, zaliczano do tej kategorii własności. Jest to źródło wiarygodne. Największą jego zaletą jest kompletność danych. Ewidencję sporządzono prawdopodobnie w 1912 r.; część jednak informacji o właścicielach pochodzi z lat wcześniejszych. Ponadto zachowało się kilkadziesiąt różnego rodzaju aktów notarialnych sporządzonych przez Tatarów ziemian z powiatu sokólskiego (zespół akt Starszego Notariusza Sądu Okręgowego w Grodnie w Archiwum Państwowym w Białymstoku). Pozwalają one m.in. na uchwycenie wszelkich zmian w stanie posiadania w dłuższym okresie.

Na podstawie źródeł urzędowych (przede wszystkim fiskalnych i notarialnych) można stwierdzić, że Tatarom powszechnie przysługiwały prawa szlacheckie. Tatarzy są z reguły określani w tych źródłach jako szlachta (dworanie). Świadczy to, że Tatarzy właściciele ziemscy (niezależnie od wielkości majątku) oraz członkowie ich rodzin, jeszcze przed powstaniem styczniowym wylegitymowali się przed Heroldią. Niektórzy nabyli dziedziczne szlachectwo z tytułu osiągniętej

rangi w służbie cywilnej lub wojskowej. Tatarów nie objęły w zasadzie postanowienia ukazu z 10 grudnia 1865 r. (st.st.) o ograniczeniach stanu posiadania polskiego ziemiaństwa w zachodnich guberniach Cesarstwa. Mogli oni dalej swobodnie nabywać ziemię, z wyjątkiem posiadłości skonfiskowanych i wystawionych na przymusową sprzedaż.

W przededniu I wojny światowej własności ziemskie, należące do Tatarów w powiecie sokólskim, znajdowały się w następujących miejscowościach: Bohoniki, Drahle, Dziemidkowo, Krugło, Malawicze Górne - majątek i okolica. Najkorzystniej stan posiadania Tatarów przedstawia się w Bohonikach. W ich ręku było 346 dziesięcin (1 dz. - 1,1 ha). Chłręścianie (głównie miejscowej chłopi) wykupili 124 dz. ziemi dworskiej. W Bohonikach leżało 15 własności tatarskich, z których wyróżniał się folwarczek o powierzchni 78 dz., należący do rodu Joanny, Rozalii i Zachariasza Olejkiewiczów. Właścicielami tylko te osoby można zakwalifikować do ziemiaństwa. W następnej kolejności można wymienić duże gospodarstwa o powierzchni: 33 dz. - Elżbiety Milkamowicz córki Abrahama, 32 dz. - Aleksandra Buczackiego syna Aleksandra, 27 dz. - Felicjanny Sulkiewicz. Najmniejszą część posiadała Zofia Sulkiewicz córka Jakuba - 1,5 dz. Własności te stanowiły części dawnych folwarków i gospodarstw tatarskich.

Przed 1887 r. największa posiadłość ziemiańska w Bohonikach o powierzchni 181 dz., należała do spadkobierców Samuela Buczackiego, prawdopodobnie potomka porucznika Macieja Murzy Buczackiego z końca XVIII w. W rezultacie sądu polubownego majątek został podzielony między Macieja Buczackiego syna Samuela oraz Aleksandra Buczackiego syna Aleksandra i wdowę Rozalię Buczacką. W 1894 r. część po zmarłym Aleksandrze Buczackim, o powierzchni 23 dz., kupił na licytacji Adam Skirmunt - właściciel majątku Drahle. Był on wierzycielem Buczackiego. W 1896 r. Maciej Buczacki zapisał swoją część o powierzchni 80 dz. Aleksandrowi Masłowskiemu synowi Samuela, zamieszkałemu w Grodnie (urzędnik w randze radcy dworu). Testament spisał Adam Skirmunt z Drahli. Po śmierci Aleksandra Masłowskiego w 1907 r., pozostałe po nim gospodarstwo o powierzchni 13 dz. kupił na licytacji Adam Mucharski syn Abrahama. Masłowski w 1905 r. sprzedał wymienionej Zofii Sulkiewicz dwór, budynki gospodarcze i ogród, o powierzchni 1 dz., za sumę 300 rubli. Do 1907 r. właściciele części dawnego folwarku Samuela Buczackiego sprzedali miejscowym chłopom co najmniej 5 parcel o łącznej powierzchni 45 dz., uzyskując, stosunkowo wysoką, przeciętną cenę 48 rubli za 1 dz.

W Drahlach w 1912 r. znajdowały się 2 folwarki o łącznej powierzchni 334 dz. oraz 16 parcel dworskich, liczących 60 dz., nabytych przez miejscowych chłopów. Większy folwark (167 dz. w 1912 r.) w 1853 r. kupił od dymisjonowanego podporucznika Józefa Kryczyńskiego syna Samuela radca dworu Adolf Wewern. Od tej daty folwark nie należał do Tatarów. Mniejsza własność (107 dz. w 1912 r.) należała do spadkobierców dymisjonowanego radcy tytularnego Adama Skirmunta (1842-1911). Adam Skirmunt odziedziczył majątek po ojcu Mustafie i dziadku Józefie. Prawdopodobnie jest to porucznik Józef Skirmunt, który w 1789 r. posiadał w Drahlach 5 dymów gruntowych. Spadkobiercami Adama Skirmunta zostali: siostra Helena Bielak i Aleksander Miśkiewicz jako brat wdowy Emilii córki Jana. Nowi właściciele pożyczili od podporucznika Wasyla Kurytowa z Grodna, pod zastaw majątku, sumę 24000 rubli. W 1913 r. sprzedali miejscowym chłopom, za

pośrednictwem rosyjskiego Banku Włościańskiego, 5 parcel o łącznej powierzchni 95 dz. za sumę 27700 rubli. Kwota ta pozwoliła im zapewne zrealizować dług na rzecz Kuryłowa.

Dziemidkowo przed I wojną światową wyszło niemal zupełnie z rąk Tatarów. Grunty dworskie obejmowały w 1912 r. powierzchnię 176 dz., a z tego tylko 25 dz. należało do spadkobierców – zmarłej przed 1894 r. – Zofii IV. Poptawskiej 2V. Smolskiej z domu Selimowicz. W 1894 r. spadek po niej objął stryjeczny brat – radca dworu Michał Selimowicz. Najstarszym znanym przedstawicielem tej rodziny był Dawid Selimowicz, który pozostawił synów Mustafę – ojca Michała i Józefa – ojca Zofii. Jeszcze do 1896 r. w rękach Tatarów w Dziemidkowie znajdował się folwark o powierzchni 130 dz. W 1892 r. od Stefana Milkowskiego folwark kupił na licytacji, uzyskując cenę tylko 1030 rubli (na majątku ciążył dług 12000 rubli), podpułkownik Sulejman Bohdanowicz, pełniący służbę w 103 pietrozawodskim pułku piechoty w Grodnie. Bohdanowicz wkrótce sprzedał ten mocno zadłużony folwark Jefimowi Bocianowi – urzędnikowi pocztowemu w Grodnie.

Krugto składało się z trzech części o powierzchni: 31 dz. – Adama i Stefana Chaleckich synów Jana, 24 dz. – Heleny Romanowicz i 21 dz. – spadkobierców Jakuba Adamowicza syna Stefana. Helena Romanowicz odziedziczyła swoją część w 1871 r. po Rozalii Szegidewicz. W 1895 r. uzyskała pożyczkę w Wileńskim Banku Ziemskim w sumie 1100 rubli. W ciągu co najmniej 30 lat stan posiadania Tatarów w Krugle zmienił się w niewielkim stopniu.

W Malawiczach Górnych, łącznie z majątkiem i okolicą, było tylko 6 własności tatarskich liczących ogółem 118 dz. Większość gruntów dworskich (201 dz.) należała do chrześcijan: szlachty, chłopów i tzw. mieszczan (niewylegitymowani mieszkańcy okolic szlacheckich, którzy po powstaniu styczniowym zapisani zostali do mieszczan jako stanu opodatkowanego). Największą własność stanowił folwarczek Józefa Chalembeka syna Macieja, dymisjonowanego urzędnika w randze radcy dworu, o powierzchni 41 dz. Chalembek był po kądzieli potomkiem i spadkobiercą Dawida Azulewicza – właściciela folwarku w Malawiczach Górnych w końcu XVIII w. Ojciec Józefa – Maciej, chorąży armii rosyjskiej, z żoną Zofią ze Skirmuntów, otrzymali w 1828 r. majątek w okolicy Malawicze Górne i Poniałowicze w rezultacie podziału z braćmi: Jakubem, Januszem i Józefem. Bracia Chalembek dziedziczyli Malawicze Górne po dziadku Dawidzie Azulewiczu. W 1850 r. Dawid Wilczyński syn Stefana, być może poręcznika Mustafy Wilczyńskiego – dziedzica folwarku w Malawiczach Górnych według taryfy dymów z 1789 r., sprzedał gospodarstwo o powierzchni 15 dz. Feliksowi Białokozowi z miejscowej szlachty zaściankowej.

Do 1909 r. w rękach Tatarów znajdował się folwark Grzebień, który po uwłaszczeniu obejmował 218 dz. ziemi. W pierwszej połowie XIX w. należał do Kryczyńskich i Sulkiewiczów. W 1853 r. od Józefa Sulkiewicza kupił go Jan Skirmunt (zm. 1882 r.), urzędnik w randze sekretarza gubernialnego. W majątku osiedlonych było 8 chłopów pańszczyźnianych. Skirmunt w testamencie z 1880 r. podzielił majątek na trzy części i zapisał: synowi Adamowi (1865–1888), córkom – Helenie (ur. 1860 r.) oraz Emilii i Rozalii (ur. 1870 r.). Najstarszego syna Aleksandra, urzędnika państwowego, wydziedziczył z powodu "złego prowadzenia się". Po śmierci Adama i Emilii majątek podzieleno w równych częściach między siostry: Helenę IV. Talkowską 2V. Buczańską i Rozalię Szegidewicz. Ta ostatnia, po rozparcelowaniu swoich gruntów, w 1904 r. kupiła na licytacji

część siostry, o powierzchni 108 dz., za sumę 3125 rubli. Na licytacji wystawił majątek Petersbursko-Tulski Bank Ziemski, któremu Helena Buczańska była winna sumę 2800 rubli. Rozalia Szegidewicz była żoną oficera (przed 1909 r. wziętą dymisję w randze podpułkownika) i mieszkała na stałe w Grodnie. W 1909 r. sprzedała majątek 10-osobowej spółce chłopskiej.

W latach 1890–1898 właścicielem większej części majątku Miszkieniki (powierzchnia 218 dz.) był dymisjonowany major Jan Czymbajewicz, właściciel kamienicy w Grodnie, a po jego śmierci – wdowa Ewa Czymbajewicz. Wcześniej majątek należał do Turkowskich. Jan Czymbajewicz w 1886 r. nabył na licytacji majątek Dzieciotowo w powiecie białostockim, własność Todwenów.

Na początku XX w. za ziemian można uznać nielicznych przedstawicieli Tatarów w powiecie sokólskim. Stan badań nie pozwala na wyczerpujące porównanie sytuacji ziemiaństwa polskiego i tatarskiego. Jednak bez obawy popełnienia większego błędu można stwierdzić, że stan posiadania ziemiaństwa polskiego zmniejszył się w znacznie mniejszym stopniu. Służba państwowa, jako model kariery życiowej, obowiązujący w środowisku tatarskim, zwłaszcza po powstaniu styczniowym, nie sprzyjała dobremu gospodarowaniu. Zabrakło ponadto takiego czynnika mobilizującego i integrującego, jakim dla ziemiaństwa polskiego był ukaz z 10 grudnia 1865 r.



Andrzej Wyczański

MIEDZY KULTURĄ A POLITYKĄ

Sekretarze królewscy
Zygmunta Starego
(1506–1548)



Z DZIEJÓW MORALNOŚCI

res saski. Wówczas to obserwujemy największe nasilenie pojedynków nie tylko na przedpolach stolicy, ale i na prowincji. Niepodważalnym jest fakt, że moda ta dotarła do nas z Francji. Pisząc o "stanie oświecenia w Polsce w ostatnich latach panowania Augusta III" książę Hugo Kołłątaj podkreślał, iż "Francja, a szczególnie Paryż były jedynym prawie obiektem podróży, gdzie się uczono zbytków i rozpusty, gdzie często za długi aresztowanych trzeba było drogo okupować, jak tego niezliczone mamy przykłady w pierwszych i najbogatszych familiach." Stamtąd też swoją wiedzę pojedynkową przywiózł do Polski i przeszczepił na rodzimy grunt bohater jednego z najstojniejszych osiemnastowiecznych pojedynków Adam Tarło.

Herałdyk Niesiecki tak o nim napisał:

"Rzadki bardzo przykład, ale kto w tak młodym wieku i tak chwalebnie wszystkie w ojczyźnie funkcje zaczynał. W 18-tym roku wieku swego rotmistrzem pancernym, bywszy wprzód dyrektorem wojskowym w Radomiu, deputatem na trybunał koronny, potem na trzy sejmy podczas interregnum, marszałkiem konfederacji województwa lubelskiego na sejm elekcyjny, rotmistrzem tegoż województwa, potem marszałkiem konfederacji generalnej dzikowskiej, po tych stopniach w 22 wieku swego wojewodą lubelskim, tudzież marszałkiem trybunału radomskiego 1737 r. itd."

Wedle słów Leopolda Huberta "osobą historyczną" Adam Tarło zaczyna być od 1733 roku, od śmierci Augusta Mocnego. Wówczas to wraz ze swoim stryjem Janem "mężem powszechnie szanowanym w narodzie", w którego domu zapewne zdobywał ostatnie szlify ogłady wielkopańskiej, wchodził w życie polityczne Rzeczypospolitej idąc "za uczuciem swego domu" do Francji i poparł pretensje Leszczyńskiego do tronu polskiego. W listopadzie 1733 r. została zawieszona konfederacja antysaska, w Nisku, na której czele obok Jerzego Ożarowskiego stanął dwudziestoletni młodzieniec – Adam Tarło. Wojska obce sprzymierzone z Augustem III skutecznie uniemożliwiały skoordynowanie akcji konfederatów. "Każdy z dowódców, odcięty i niejako otoczony nieprzyjacielem nie mógł łączyć się z drugim, uzbrojenia sły jak widać wolniej dla braku zapasów, tak więc choć niby dość znaczne liczono siły, nie mogli działać wspólnie, (...) Jan Tarło, Ożarowski, Potocki, Rudziński, Adam Tarło i inni, każdy z niedokompletną partią, uwiązali się oddzielnie...". Kiedy w kwietniu Jan Tarło podążył ze stoma tysiącami Polaków i dwoma tysiącami

cd. str. 12

Iwona H. Pugacewicz

"Nie nazywaj się synem moim, jeżeli tej hańby nie powetujesz!" – czyli o honorowych potyczkach Adama Tarły z Kazimierzem Poniatowskim (część I)

Pojedynek nowożytny w Polsce nie doczekał się swego opracowania. Inną sprawą jest, iż nigdy nie osiągnął on tak wielkiej, zadziwiającej wręcz popularności, jak na zachodzie Europy, we Francji i Cesarstwie Niemieckim szczególnie. Bagatelizowany przez rodzimą historiografię jako rzecz niewarta studiowania mieścił się w pejoratywnie pojmowanych "rozrywkach szlacheckich", a więc we wszystkich biesiadnych zajęciach, pijackich bójkach, etc., wynikał z programowo zdeklarowanego temperamentu polskiej szlachty i w takiej opcji był wręcz przyczynkiem anarchizacji państwa.

Tymczasem na to samo zjawisko można spojrzeć z drugiej strony. Być może pojedynek w Rzeczypospolitej XVIII wieku miał szansę ucywilizowania gwałtów i pijackich zwad, być może w powszechnym niedostatku prawa ów mógł stać się honorowym prawem zwyczajowym, łagodzącym nie tyle obyczaje ile je porządkującym. Z badań źródłowych wnioskując, że apogeum tych "walk pojedynczych" przypadało na ok-



Wyższość polskiej szlachty nad francuską spada



Wyzwanie na pojedynek

ze szlachtą poprzysiągł do końca walczyć za Stanisława. Koniec ów okazał się jednak zbyt szybki. Nic nie pomogły pompacyjne manifesty Leszczyńskiego skoro z nikąd nie było pomocy, zawiodły nadzieje francuskie, "wojsko i inne potrzeby wymagały ogromnych wydatków, a skarb Leszczyńskiego niewiele zasilany przez Francję, nie starczał na wszystko, moi stronnicy jego, a nawet drobniejsza, wierna szlachta, niosła wielkie ofiary". Adam Tarto zadłużył się na połowę wartości swoich dóbr. W sumie jednak okazał się być nadal na szczycie hierarchii Rzeczypospolitej, bo zgodnie z rozważaniami Antoniego Mączaka, rzeczą niemożliwą w pewnych okolicznościach jest spaść z pozycji patrona, a może w wypadku Tarty "brokera", i zostać politycznym bankrutem w społeczeństwie o tak silnych powiązaniach klientalnych. W momencie, kiedy przewaga militarna Augusta III okazała się niekwestionowana, Adam bez wahania jako jeden z pierwszych przeszedł na stronę tego ostatniego. Zmiana patrona wypłynęła nie tyle z potrzeby legalizmu wobec właściwej władzy ile z perspektywy na intratniejszą przyszłość. I w takiej sytuacji politycznej zmiana opcji nie została odebrana jako zdrada, ale krok rozważny i śmiały. Klienci Tarty doskonale ją rozumieli i przystali na tę gdyż "motywem wyboru kierunku działania była ocena przyszłości". August III dał rzeczywiście Tarte nadzieje na wysokie godności. Oto ogłód całej sytuacji oczyma pamiętnikarza: "Adam z Królewca pojechał wprost do Warszawy. W parę dni po przybyciu przedstawiony był Augustowi III-mu i zaraz spadła na niego łaska królewska. ...i wojewodą lubelskim mianował tegoż dnia (6.05.1736 r.) Adama Tarte. Bywali kilku lub kilkunastoletni starostowie, których ojcowie, wyrobiwszy sobie prawo rozporządzania starostwami, ustępowali je małoletnim synom, ale tu młodzieniec dwudziestodwuletni zajął krzesło senatorskie. Wysoki ten zaszczyt mógł zobowiązać młodego wojewodę, a król wiedział jak zjednywać ludzi, mających wziętość w narodzie. Był to już siódmy wojewoda lubelski w domu Tartów."

Czas przejść do ostatniego najbardziej nas tu interesującego epizodu z życia Adama i przedstawić bezpośrednie przyzwyiny jego pojedynku z Kazimierzem Poniatowskim.

Po wojnie o sukcesję po Augustie III życie polityczne w kraju stabilizowało się. Wykształcone już stronnictwo rodziny,

związane wówczas z dworem królewskim i ministrem saskim Henrykiem Brölem, z czasem myślące o założeniu nowej dynastii opierało się na Czartoryskich (głównie wojewodzie ruskim Augustie i podkanclerzu litewskim Michale), spowinowacanych z nimi Poniatowskich, wśród których spotykamy i Kazimierza, najstarszego syna Konstancji z Czartoryskich Poniatowskiej - podkomorzego wielkiego koronnego i drugiego jej syna - Stanisława, ostatniego króla.

Adam Tarto należał do stronnictwa republikańskiego skupiającego dawnych przyjaciół Leszczyńskiego i Francji, gdzie obok Józefa Potockiego odgrywał czołową rolę. Niezwykła popularność wojewody lubelskiego była "solą w oku rodziny". Konflikt między nią a Tartą wydawał się być nie do uniknięcia. Ten "pan wielkiego serca i piękny, hojny i popularysta wielki, i wielki nieprzyjaciel książąt Czartoryskich" nie zawahał się, jak to relacjonował Marcin Matuszewicz, "do króla list oskarżający grafa Bröla (pisać I.P.), najwyższego ministra saskiego i faworyta królewskiego, a przyjaciela książąt Czartoryskich, że od nich kapitulowany ..." tj. przekupywany. Pożornie jednak, jeśli spojrzymy na stosunki towarzyskie epoki, żyło się braci szlacheckiej zgodnie i w miłości. Ukryci wrogowie spotykający się na balach, w salonach Warszawy czy innych miejscach publicznych zachowywali pozor przyjaźni i zrozumienia. Oto karnawał 1743. Cała Warszawa zgodnie szaleje na rautach, prowadzi życie pełne uciech, beztroskie i pewnie tak jak 40 lat temu, tak i teraz "do obiadów po sto i więcej osób zasiadało, a korki szampańskiego wina wystrzelały salutowały biesiadników". Ale oto i skandal. Na salony wprowadzono prawdziwą piękność - osiemnastowiecznego "kopciuszka", lub jak kto woli "trędowatą" - niezwyklej urody dziesiętnastoletnią Anusię Cuming, córkę Teodora Lubomirskiego i rozwódki Elżbiety de Culler. Teodor Lubomirski, wojewoda krakowski i feldmarszałek austriacki, zwany "księciem piekielnych ciemności" dla umiłowania okrucieństwa i gwałtu, zakochawszy się do szaleństwa w pięknej Elżbiecie, Szkotce z pochodzenia, odebrał ją prawowitemu mężowi, krakowskiemu kupcowi Janowi Kristiczowi (nie zapominając o godziwej rekompensacie pieniężnej za stratę), otoczył przepychem i ożenił z sobą. Z tego związku miał dwoje dzieci: Anusię, urodzoną przez ślubem i Kaspra. Potomstwu trzeba było zapewnić nie tylko godną przyszłość materialną, ale co trudniejsze - pozycję towarzyską. W 1743 niekwestionowaną sensacją karnawału stało się wejście na salon młodzieńkiej Anny. Trzeba było dużej odwagi, aby złamać konwenanse i zamiast zajmować się osobami ze swego stanu dawać prymat pierwszeństwa bękartowi, panience podłego pochodzenia, jak określano Annę. Cóż, naszemu bohaterowi, Adamowi Tarte właśnie owa, niechciana panna "haniebnie wpadła w serce". Nie przepuszczał żadnej okazji, aby się z nią spotkać, co się bardzo nie podobało księżniczkom, hrabiankom, wojewodziankom oczarowanym urodziwym trzydziestoletnim senatorem. Po Warszawie krążyła już plotka, że Tarto podobno ma się rozwieść ze starą Dorotą z Tartów i złączyć się z Anusią. Rzeczywiście żona Adama, wdowa po Stanisławie Chomentowskim wojewodzie mazowieckim, hetmanie polnym koronnym, poza pieniędzmi nie miała innych wdzięków. Dwa razy starsza od Adama zgodziła się na ślub z tymże tuż po wojnie Leszczyńskiego z Sasem. Wówczas wdowa po Chomentowskim posiadała potężną fortunę, a młody Tarto tylko długi, podupadający majątek i słabe nadzieje na francuską rekompensatę. Racje miał Hubert pisać iż "nieodpowiedni wiekiem związek nie zaspokoił namiętnych pragnień serca młodzieńca i z czasem stał się dla niego przyczyną nieszczęść i zguby".

17 stycznia marszałek wielki koronny wydał bal. Na ulicę Królewską zjechała się cała elita Warszawy. Po obfitym, wstępnym przyjęciu przyszedł czas na tańce. Najpierw, jak wymagały tego maniere Tarto tańczył z gospodynią domu - panią marszałkową, następnie, wedle przyjętej ceremonii, z wojewodzianką ruską Zofią z Sieniawskich Czartoryską, by wreszcie wziąć w ramiona ukochaną Anusię.

"Uraziła ta rzecz wszystkie zaproszone na ten bal damy, które z racji urodzenia wyżej wyrażonego postpowowały wojewodziankę, że się wszystkie zmówiły nie iść w drugi taniec z wojewodą lubelskim". Dalej Matuszewicz dodaje: "wiedział wojewoda lubelski o tej dam do księżniczki wojewodzianki awersji i umyślnie chcąc książąt Czartoryskich umortyfikować, prosił w drugi taniec księżny Czartoryskiej". Jak przebiegała rozmowa między tą ostatnią a Tartą, oddajmy głos Kitowiczowi:

- Podobno z nikim nie tańczysz W. Ks. Mość - zauważył poirytowany Tarto - więc mogę ją prosić?

- Tańczę i będę tańcowała, ale nie z Waszmośc Panem.

- Byłoby to moim afrontem, gdybyś Waszmość Pani miała z kim innym tańcować, mnie odmówiwszy", powiedział Tarto i zapytał o przyczynę odmowy.

"- Pan nie obserwujesz rangi - odpowiedziała podkanclerzyna - i jeszcze raz powtarzam, że po panie Kryście (mowa o Annie) z Waszmośc Panem tańcować nie będę".

Reakcja poirytowanego szlachcica była natychmiastowa. Odwrócił się do zebranych i zawołał: "Będę go miał za szelmę, kto z wojewodzianką pójdzie w taniec." Konstancja z Czartoryskich Poniatowska usłyszawszy to, zwana dla porywczoci charakteru "gradową chmurą", zawezwała natychmiast swego najstarszego syna i kazała mu iść w tany z ciotką. Według relacji Adama Moszczeńskiego Kazimierz opierał się temu i dopiero policzkiem danym mu przez matkę na balu, do tańca zmuszony został". Tarto ujrzawszy Kazimierza stawającego do tańca wykrzyknął: "otóż jest szelma!" i dał mu parol. Gdyby nie natychmiastowa interwencja magnacka pod przewodnictwem Augusta Czartoryskiego, pewnie od razu na sali doszłoby do walki. Po uspokojeniu sytuacji, nieusatisfakcjonowany Tarto wystąpił do młodego Poniatowskiego Kaspra Lubomirskiego z ponowieniem wyzwania na regularny pojedynek, oświadczając, że czeka za bramą. Wyzwany, czując za sobą protekcję całej rodziny, odpowiedział ponoć: "że się wszędzie panu wojewodzie jutro stawia, a dzisiaj chce i będzie tańcować."

"Nazajutrz zaraz ułożyli sekundanci warunki honorowej rozprawy, która odbyła się trzeciego dnia po balu na polach około Piaseczna, trzy mile za Warszawą. Przeciwnicy strzelali się na pistolety siedząc na koniach". Wojewoda lubelski chce bardziej nastraszyć niż skrzywdzić przerażonego przeciwnika, "co nie umiał bronią robić", przestrzelił pod nim konia. Poniatowski spadając krzyczał ponoć: "KOCHAM PANA WOJEWODĘ!", na co zgromdzony tłum ryknął salwą śmiechu, a wraz z nim, wkrótce po rozpuczeniu nowinki, śmiała się cała Warszawa.

Upokorzony został nie tylko Poniatowski, upokorzona została cała rodzina.

Zapoznając się z różnymi relacjami owego honorowego spotkania, zastanawia nas wiedza głównych bohaterów zdarzenia o pojedynkowych zwyczajach. Pośrednia odpowiedź, zdecydowanie nie wyczerpująca, może wynikać z życiorysu Adama Tarty. Oto rok 1738. Wojewoda wyrusza do Francji, do Lunevill, w celu uzyskania odszkodowania za straty poniesione

w wojnie o sukcesję. Przy okazji starań o pieniądze, order, wstęgi (z czego nic zresztą nie wyszło) ma okazję z bliska przyjrzeć się zwyczajom i wejść do różnych francuskich saloonów. "Tu rozwinęło się przed nim nowe życie, przyjęty jak najlepiej na dworze, uległ ponętom, jakie budził wówczas Luvre i Versaille". "Młody, żywy, namiętny, otoczony urokiem sławy" rzucił się w wir miłosnych przygód i jakże wówczas modnych honorowych potyczek. We Francji spędził co najmniej dwa lata, rok 1739 i 1740. "Wspólnie z dworem żył jego życiem, ubierał się po francusku i zasmakował w nałogach swego wieku". Tam zapewne nabył wiedzy pojedynkowej. Nauk tych nie można było wyczytać z żadnych książek, pierwsze spisane kodeksy honorowe pojawiły się w drugiej połowie XVIII w. Edukacja wypływała więc z mocno ugruntowanej tradycji, stosowanych na co dzień zwyczajów rozwiązywania honorowych sporów. W jednym ze swoich artykułów poświęconych angielskiemu pojedynkowi, zastanawiając się, gdzie jest jego ojczyzna, doszedł do wniosku, że nie musi być to Francja, jak chce większość, niemniej niewątpliwie właśnie tam pojedynek święcił największy triumf. Wystarczy przyrzyć się prawodawstwu antypoedynkowemu, działalności trybunału marszałkowskiego, innych sądów honorowych, czy też liczbom ofiar owej "combat singuliere".

Tak więc Tarto stając z szranki z Poniatowskim, miał już za sobą najlepszą szkołę. A Kazimierz? ... Natychmiast po pojedynku pojechał pokłonić się matce i zdać radosną, zdaniem jego, relację jak to uniknął śmierci i z Tartą pogodził. Dumna matka wpatrzona w naiwnego syna rzekła: "wolałabym cię widzieć trupem z placu przyniesionego, niż z taką ohydą powracającego, nie nazywaj się synem moim, jeżeli tej hańby nie powetujesz!"

Pojedynek Tarty z Poniatowskim



MIŁOŚĆ W ŻYCIU SIEDEMNASTO- WIECZNEJ DAMY

Miłość zawsze odgrywała dużą rolę w życiu człowieka. Średniowiecze wykształciło model miłości dworskiej, która do niczego kobiety nie zobowiązywała, a dawała jej możliwość bycia kochaną i uwielbianą. W wieku siedemnastym na dworze francuskim nadal należało do dobrego tonu posiadanie zdeklarowanego adoratora. Taki typ miłości, bardzo powszechny na dworze i w salonach, nie budził podejrzeń, nie dawał też podstaw do plotek i domysłów. Wraz z powstaniem salonów narodził się nowy model miłości – kwitła w nich miłość platoniczna. Obowiązkiem kobiety było być okrutną, a mężczyzny – cierpieć i znajdować dla swego cierpienia najwyszukańszy wyraz, co odbiło się echem w twórczości salonowej. Obie miłości, dworska i salonoowa, miały jedną wspólną cechę – były platoniczne. W jednym i drugim przypadku mężczyzna miał darzyć kobietę wszelkimi względami, zaś kobieta miała być zupełnie nieczuła na czynione z jego strony awanse. W tym czasie wszelkie inne namietności były traktowane bardzo surowo. Najczęściej spotykały się z potępieniem i zawsze starano się jak najstaranniej je ukrywać.

W kwestii miłości salonowej i dworskiej istniała zgodność co do jednego: „(...) że miłości wyznawanej publicznie i prowadzącej jedynie do publicznych uprzejmości nie uważano wtedy za coś, co należy trzymać w tajemnicy.” Dlatego też wszelkie miłości dworskie i salonoowe były okazywane publicznie, nawet z pewną ostentacją. Oto jak miłość hrabiego de Guiche do pani de Chalais, okazywana na dworze Henriety Angielskiej, opisuje pani de La Fayette: *“Hrabia zakochany był wówczas w pani de Chalais, córce księcia de Noirmoutiers. Była bardzo miła nie będąc piękną, gonił wszędzie za nią, towarzyszył jej na każdym kroku; była to, słowem, namietność tak powszechnie znana i tak zdeklarowana, że wątpiono, iż aprobowała ją osoba będąca jej przedmiotem, i sądzono, że gdyby istniało pomiędzy nimi jakieś porozumienie, obrałaby dla niej ścieżki bardziej ukryte. Pewnym jest wszakże, że chociaż go nie kochała, nie czuła jednak do niego nienawiści i traktowała jego miłość bez gniewu.”*

Podobnie również wyglądała miłość salonoowa. Pani de Maintenon, jeszcze jako pani Scarron była ozdobą salonu de Richelieu. Jako osoba wolna, inteligentna i ładna miała również duże grono wielbicieli, o czym wspomina pani de Caylus: *“Pan de Barillon, zakochany w pani de Maitenon, ale wzgardzony jako kochanek, bardzo natomiast ceniony jako przyjaciel, (...) Kardynał d'Estrées był także w niej zakochany w czasach, o których opowiadał, dowody uczucia, jakie dawał pani de Maintenon, nie poruszyły jej serca, ale podobały się jej inteligencji. Pan de Guilleragues dzięki stałości uczuć, dowcipowi i pieśniom zasługuje na poczesne miejsce w katalogu wielbicieli pani de Maintenon. Muszę stwierdzić na końcu, że wszystko, co widziałam i słyszałam w pałacu de Richelieu, dowodziło wysokiego mniemania powszechnego o jej cnocie i powabach.”* Jak pokazują powyższe przykłady, zarówno w przypadku miłości dworskiej, jak i salonowej, uczucia mogły okazywać tylko mężczyzna. Kobieta zaś winna

okazywać ostentacyjną obojętność, ewentualnie dążyć do zdobycia przyjaźni swego adoratora. Jeżeli działało się inaczej, dobre imię panny mogło na tym bardzo ucierpieć, czego przykłady dają nam źródła, m.in. *“Wspomnienia”* pani de Caylus: *“Panna de Pons, która poślubiła potem pana d'Heudicourt i panna d'Aumale, późniejsza marszałkowa von Schomberg, miały także zdeklarowanych wielbicieli, ale dobre imię panny d'Aumale nie ucierpiało na tym ani trochę, jeśli zaś inaczej było z panią d'Heudicourt, to dlatego, że miłości wyznawanej publicznie i prowadzącej jedynie do publicznych uprzejmości nie uważano za coś, co należy trzymać w tajemnicy.”* Salony, w których pośród dyskusji i rozrywek, królowała miłość, dążenie do jej doskonałości doprowadziły wręcz do absurdu. Madeleine de Scudéry, ówczesna salonowa Safona w jednej ze swoich powieści zamieściła Mapę Krainy Czułości. Było to graficzne przedstawienie wszelkich elementów i zagadnień miłości. Można tam było znaleźć Jezioro Obojętności, Rzeki Skłonności, Szacunku, Wdzięczności i miasta o takich nazwach jak: Szczerość, Uprzejmość, Czułość, Powolność, Tkliwe Starania, Czułe Wierszyki itd. Wyznaczono również sobie drogi, którymi można było podążać od miasta Świeżej Przyjaźni do miast Czułości przez rzeki: Szacunku, Wdzięczności czy też Skłonności. To, co początkowo miało być tylko zabawą, zaczęło traktować bardzo poważnie i osoba nie znająca Mapy Krainy Czułości nie mogła nawet uczestniczyć w salonoowych dyskusjach o miłości. Literackim pomnikiem salonowej miłości była niewątpliwie *“Girlanda Julii”* – zbiór siedemdziesięciu sześciu madrygałów napisanych przez różnych poetów na cześć Julii d'Angennes, córki markizy de Rambouillet. W *“Girlandzie Julii”*, pod postacią dwudziestu kwiatów symbolizujących dwadzieścia cnót, ukazano *“widzialne bóstwo”*, czyli Julię d'Angennes. Madrygały te, napisane m.in. przez Corneille'a, zebrał i złożył u stóp wybranki swego serca pan de Montausier, który zresztą o względy pięknej Julii musiał zabiegać aż trzynastcie lat.

Oprócz miłości dworskiej i salonowej, ogólnie pochwalanych, akceptowanych i traktowanych bardziej jak zabawa towarzyska aniżeli prawdziwe uczucie, istniała jeszcze inna miłość. Miłość pełna tajemnic, namietności, zagadkowe i bardzo niebezpieczna, przede wszystkim dla kobiety. Był to temat raczej wstydlivy, coś o czym mówiono w sposób zawoalowany, co za wszelką cenę starano się utrzymać w tajemnicy. Ale z czasem dwór stał się miejscem, gdzie posiadanie kochanka nie było rzeczą godną potępienia, lecz raczej oznaką podążania za modą. Odbiciem tej mody są maksymy Jeana de La Bruyère'a, w których sporo miejsca autor poświęca kobietom i ich postępowaniu. Pisząc o kobietach zameńnych posiadających kochanków, za istniejący stan rzeczy obwiniał ich mężów: *“Nie pojmuję, jak mąż, który nie potrafi opanować swoich złych humorów, nie ukrywa żadnych wad, a przeciwnie, pokazuje się od najgorszej strony, skąpy, zaniedbany w stroju, opryskliwy, niegrzeczny, zimny i mrukiwy – może spodziewać się, że ochroni młodą kobietę przed zakusami adoratora, który podbija ją strojem i przepychem, uprzejmością, usługowością, uczynnością, prezentami, komplementami?”* Rzeczywiście, najczęstszą przyczyną tego, że kobieta zostawała czyjąś kochanką było zaniedbywanie przez męża. Opuszczona, zaniedbywana i spragniona tkliwych uczuć chętnie uciekała w ramiona kochanka, który potrafił zaspokoić przynajmniej część jej pragnień. Przykładem takiej miłości może być romans Diany de Nevers, małżonki Filipa Mancini nazywanego diukiem de Nevers z księciem de Condé,

o czym pisze pani de Caylus: *“Pani de Nevers musiał więc zrezygnować z Króla i zadowolić się księciem de Condé, który w tym czasie był jeszcze diukiem. Inteligencja, elegancja w stosunku do kobiet i hojność kiedy był zakochany, rekompensowały nieco jego powierzchowność, bardziej był bowiem podobny do gнома niż do mężczyzny. Dał on wiele dowodów miłości do pani de Nevers, ale opowiem tylko o jednym: pan de Nevers miał zwyczaj jeździć do Rzymu, jak się jeździ na kolację do podmiejskiej gospody, tak że pani de Nevers nieraz wsiadała do karocy przekonana, iż jedzie tylko na spacer i styszała nagle, jak mąż rozkazuje woźnicy: ‘Do Rzymu’. Ponieważ z czasem poznała lepiej swego małżonka i nauczyła się wystrzegać niespodzianek, odkryła pewnego razu, że on znowu zamierza zabrać ją w taką podróż. Powiedziała o tym diukowi, który był równie pomysłowy jak hojny, kiedy chodziło o zaspokojenie własnych zachcianek. Znając wszechstronne uzdolnienia i charakter pana de Nevers, diuk postanowił wykorzystać jego talenty i zamiłowanie do poezji. Wpadł więc na pomysł, aby wydać na cześć delfina wielkie przyjęcie w Chantilly. zaproponował to i propozycja została przyjęta. Powiedział wówczas panu de Nevers, że ma ogromne trudności z wybraniem poety, który by napisał słowa do dywerymentu, i usilnie go prosił, aby znalazł kogoś odpowiedniego i zechciał nim pokierować. Na co pan de Nevers – zgodnie z przewidywaniem diuka – ofiarował się wszystko sam zrobić. Przyjęcie zostało wydane, kosztowało blisko sto tysięcy talarów, ale pani de Nevers nie pojechała do Rzymu.”* Jak widzimy, szczodrość Henryka Juliusza de Condé nie miała granic, gdy chodziło o szczęście jego wybranki. Aby być bliżej damy swego serca, kupił dwa domy przylegające do pałacu Nevers.

Czasami zdarzało się, że mąż lub rodzina popychali kobietę w ramiona jakiegoś mężczyzny po to tylko, aby móc z tego czerpać korzyści. Pani de Sévigné, która wiedziała o miłości jaką kardynał de Retz darzył jej córkę panią de Grignan, nalegała na nią, aby ta próbowała przynajmniej okazywać mu przyjaźń. Pani de Sévigné zaręczała przy tym, że tak małym kosztem pani de Grignan będzie mogła ciągnąć poważne korzyści z tego związku. Pani de Grignan, nie wiadomo z jakich powodów, żywiła tak ogromną odrazę do kardynała, że żadne argumenty nie były w stanie skłonić jej do obdarzenia miłością czy przyjaźnią tego człowieka. Ale najczęściej kobieta sama wybierała sobie kochanka i bardzo często była mu wierna do końca, o czym pisze w swojej maksymie Jan de La Bruyère: *“Niektóre kobiety mają tylko dwa związki, z których jeden równie trudno zerwać jak drugi ukryć. W jednym brak tylko ślubnego kontraktu, w drugim – serca.”* Co było motywem skłaniającym kobiety do wchodzenia w różnego rodzaju związki nieformalne? Myślę, że motywów było wiele. O niektórych z nich pisze Jean de La Bruyère: *“Kobieta, która zmienia kochanków, chce, aby ją kochano.”* W siedemnastowiecznym społeczeństwie francuskim dziewczęta wychowywane przez klasztor lub guwernantki, wydawane za mąż za kandydatów wybranych przez rodziców, często przez wiele lat nie były obdarzane miłością. Dlatego też, gdy pojawił się człowiek okazujący im serdeczność i zainteresowanie, zdolne były dla niego poświęcić wszystko: spokój, dobre imię a nawet swoje małżeństwo. Inne damy w swoich romansach kierowały się względami materialnymi. Osoba, która ze swoich romansów ciągnęła poważne gratyfikacje finansowe była księżna de Rohan-Soubise. Mając romans z królem i będąc ko-

chanką innych możnych panów, kierowała się tylko rozsądkiem, o czym pisze m.in. pani de Caylus: *“(...) była zbyt poważna, aby trwać przy delikatnych uczuciach, które – obdarzona trzeźwym umysłem i zimnym temperamentem – uważała za haniebną słabość. Pochłonięta jedynie sprawami i wielkością swojego rodu pozostawała obojętna na wszystko, co nie miało z nim związku.”* Inne kobiety zostawały kochankami możnych książąt chroniąc się w ten sposób przed szykanami ze strony mężów i ich rodzin. Przykładem może tu być przygoda pani de Verrue przekazana nam przez Saint-Simona. Niezależnie jednak od motywów jakie skłaniały kobiety do odwzajemniania uczuć swoich adoratorów, należy powiedzieć, że posiadanie kochanka było w sferach arystokratycznych siedemnastowiecznej Francji rzeczą zupełnie naturalną i dopiero prowadzenie życia rozpustnego było potępiane przez opinię społeczną.

Czym więc był miłość do siedemnastowiecznej damy? Dla jednych pań była największą wartością w ich życiu, dla innych siłą napędową ich działań. Niektóre zaś damy traktowały to uczucie jako coś zupełnie zbytecznego w ich życiu. Miłość salonoowa i dworska były raczej formą zabawy towarzyskiej. Miłość prowadząca do romansu, a czasem nawet i skandalu, odzwierciedlała pewne dążenia i pragnienia kobiet. Dla jednych była rozrywką, dla innych formą władzy nad drugim człowiekiem. Dla wszystkich jednak była zagadką. Najpiękniejsza siedemnastowieczna francuska powieść o miłości została napisana przez kobietę. *“Księżna de Clèves”* piori pani de La Fayette jest nie tylko powieścią o miłości, ale także, a może i przede wszystkim, jest wyrazem dążeń i marzeń wielu kobiet. A marzeniem każdej z nich była prawdziwa miłość, o którą zawsze było trudno.



Andrzej Wyczański

Dogonić Europe



Z HISTORII SPORTU

Jan SNOPKO

KOBIETY NA "ŁĄCZCE" SPORTOWEJ - TRUDNE POCZĄTKI

Jeszcze nie tak dawno temu miliony widzów na całym świecie entuzjastycznie rywalizację najlepszych sportowców podczas zimowych igrzysk olimpijskich w Lillehammer. Poczesne miejsce wśród najlepszych zajmowały panie. Występy Oksany Bajul, Nancy Kerrigan czy Tonyi Harding oglądało więcej widzów niż lądowanie na Księżycu czy wybory prezydenckie w Stanach Zjednoczonych (inna sprawa, że nie zawsze było to zainteresowanie wyłącznie sportowe). Z kolei takie wielokrotne medalistki jak Manuela di Centa, Ljubow Jegorowa czy Pernila Wiberg, cieszą się w swych krajach sławą równą (albo i większą) bohaterom narodowym.

Warto jednak pamiętać, że nie zawsze tak było, a kobiety z wielkim trudem zdobywały sobie prawo obywatelstwa na niwie sportowej. Na ziemiach polskich działacze wychowania fizycznego borykali się ze szczególnymi problemami, ze względu na politykę zaborców, powolne przemiany struktur społecznych oraz pewne zacofanie cywilizacyjne i obyczajowe.

W wieku XIX stosunkowo najlepiej znana była gimnastyka, która powoli wchodziła do programów szkolnych, była uprawiana czasem w prywatnych zakładach gimnastyczno-lecznic-

Na ślizgawce, 1885



nych, a od 1867 roku w placówkach Towarzystwa Gimnastycznego "Sokół". Nie oznaczało to bynajmniej ogólnej aprobaty społeczeństwa dla ćwiczeń cielesnych. Dość powszechnym było przekonanie, że "gimnastyka - to niebezpieczna sztuka łamania, potrzebna raczej dla zawodowego kształcenia majtków, straży pożarnej, linoskoczków lub innych podobnych zajęć, aniżeli dla ludzi, którzy z zawodami takimi nie mają i nie będą mieć i później w życiu nic wspólnego". Niekiedy nawet grona pedagogiczne niechętnie patrzyły na ćwiczenia fizyczne uczniów, a w galicyjskim Sejmie Krajowym jeden z posłów przekonywał, że gimnastyka "nie popierana, ale raczej zakazana być powinna, bo zabiera tylko młodzieży drogi czas do nauki, odwołuje ją od pracy, niszczy odzież i wzmacnia apetyt, a więc rodzicom przysparza wydatków".

Jeszcze większe opory natury obyczajowej, głęboko zakorzenione uprzedzenia i przesady, napotykało wychowanie fizyczne i sport kobiet. Trzeba zaznaczyć, że nurt ten był częścią szerszego zjawiska społecznego - emancypacji kobiet. W programie ruchu emancypacyjnego znalazły się hasła reformy wychowania, w tym i edukacji fizycznej dziewcząt. Motywowano to zmianą pozycji społecznej kobiety, jak i ogólną potrzebą przełamywania konwenansów, ograniczających aktywność pań do pewnych tylko sfer życia społecznego. Pojawienie się kobiet na niwie sportowej budziło oczywiście namętne polemiki. Aktywność niewiast w tej dziedzinie popierali między innymi Bolesław Prus (w "Kurierze Warszawskim") i Artur Oppman (na łamach "Cyklisty").

O ile ćwiczenia o charakterze zdrowotnym czy rekreacyjnym nie budziły większych sprzeciwów, to sport wyczynowy kobiet przyjmowany był z wielką nieufnością nawet przez orędowników wychowania fizycznego. Przykładem może tu być komentarz zamieszczony na łamach krakowskiego "Przeglądu Gimnastycznego" (1900), odnoszący się do wyścigu kolarskiego na dystansie 250 kilometrów pod Hamburgiem, w którym uczestniczyła Angielka o nazwisku Radda: *Energiczna ta białogłowa przebyła tę przestrzeń w 8 godzin 59 minut 40 sekund, zyskując trzecią nagrodę i dając niemały dowód siły i wytrwałości płci niewieściej. Mimo to sądzimy, że widok młodej damy wyczerpanej wysiłkiem, spoconej i zakurzonej, nie był dość estetyczny i że właściwszym by było, aby miss Radda i wszystkie jej zwolenniczki poprzestały jedynie na zwykłej jeździe spacerowej, a co najwyżej*

na małżeńskim tandemie".

Na ziemiach polskich ruch wychowania fizycznego kobiet rozwijał się od końca XIX i początku XX wieku. Był opóźniony i słabszy w stosunku do analogicznych procesów na Zachodzie. Najbardziej popularnym i nie budzącym oporów społecznym sportem kobiecym było pod koniec ubiegłego stulecia tyżwiarstwo. "Bywanie na lodzie" należało do



Cyklistki, 1897

dobrego tonu, było elementem obyczaju i życia towarzyskiego. Ślizgawka zaś była nie tyle areną sportową, ile rewią mody i miejscem, gdzie można było ubiegać się o względy dam. Dobrze widziana była również jazda konna, ale amazonki należały raczej do elity społecznej.

W propagowaniu gimnastyki żeńskiej dużą rolę odegrało wspomniane już Towarzystwo Gimnastyczne "Sokół", oraz zakłady gimnastyczne prowadzone przez kobiety. Pierwszym i najbardziej znanym był Zakład Gimnastyki Szwedzkiej, Leczniczej, Zdrowotnej i Masażu dla Kobiet i Dzieci - Heleny Kuczalskiej, założony w 1882 roku w Warszawie. Później w mieście tym powstało jeszcze kilka takich ośrodków, a także w Krakowie, Łodzi i Sosnowcu. Gimnastyka obecna też była w modnych wówczas kurortach.

"Sokół" lwowski od początku swego istnienia (1867) starał się upowszechniać ćwiczenia fizyczne dla pań. Na łamach organizacyjnego miesięcznika ("Przewodnik Gimnastyczny »Sokół«") zamieszczano przedruki z prasy zagranicznej, informujące o uprawianiu gimnastyki i innych sportów przez córki europejskich rodzin panujących czy bardziej znane przedstawicielki płci pięknej. Komentowano przy tym: "... i w naszych klasach, szczególnie wyższych, przydałyby się także bardzo ćwiczenia gimnastyczne dla dziewcząt. Sposób bowiem ich życia powszechnie siedzeniowaty i nazbyt rozdelikacający, czyni je wątłymi, bladymi, bezsilnymi i nader usposobionymi do chorób".

Dopiero jednak od 1885 roku kobiety mogły wstępować w poczet "Sokoła". Wtedy też zorganizowano bardziej regularne ćwiczenia dla dziewcząt i pań. Zapoczątkowało to żywszy ich udział w pracach gniazd sokolich. Naczelnik "Sokoła" Antoni Durski opracował systematykę i metodykę gimnastyki żeńskiej w podręczniku pt. "Gimnastyka dziewcząt i kobiet" (Lwów 1898). Autor zwracał dużą uwagę na estetykę, zgrabność i piękno ruchów.

Od roku 1903 zaczęły powstawać oddzielne oddziały żeńskie w towarzystwach sokolich. Wkrótce też sekcje kobiece zorganizowały się w 14 gniazdach galicyjskich, a w lwowskim "Sokole-Macierzy" panie utworzyły własny oddział pod przewodnictwem Heleny Bilińskiej. Sokolice wzięły udział w IV zlocie sokolstwa polskiego w czerwcu 1903 roku we Lwowie i spotkały się z dużą sympatią publiczności. Panie zaprezen-

owały ćwiczenia laskami, reje, pąsy, korowody w tak muzyki, gry i zabawy. "Gracja ruchu, precyzja w wykonaniu, miarowy temperament porwał widzów, toteż oklaskom nie było końca" - donosiła prasa. Podczas zlotu członkinie "Sokoła" zwołały wiec kobiet pod hasłem: "Tylko zdrowe i silne matki mogą wychować w całym kraju żeńskie oddziały sokolice". W roku 1909 odrębne zastępy bądź oddziały żeńskie istniały już w 38 gniazdach zaboru austriackiego. Ćwiczyło w nich 469 pań. W zlocie grunwaldzkim 1910 roku w Krakowie, który był częścią obchodów 500-nej rocznicy zwycięstwa pod Grunwaldem, uczestniczyło ogółem już ponad 700 druhen (614 z Galicji, 64 z Królestwa Polskiego i 33 z Wielkopolski), 640 z nich stanęło do ćwiczeń na boisku.

Silne organizacje sokolice istniały między innymi we Lwowie, Tarnopolu, Krakowie, Sokalu, Rzeszowie i Bochni. W 1906 roku, po zalegalizowaniu przez władze carskie możliwości zakładania stowarzyszeń, powstała w Warszawie pierwsza całkowicie kobieca organizacja gimnastyczna, mianowicie V gniazdo "Sokoła" warszawskiego, które przybrało nazwę "Grażyna" - od imienia bohaterki poematu Adama Mickiewicza. Przewodniczącą "Grażyny" była wspomniana już pionierka gimnastyki kobiecej - Helena Kuczalska. Było to istotne chociażby dlatego, że w innych towarzystwach sokolich niechętnie dopuszczano kobiety do zarządów i dworowano sobie ze "spółniczkowego" kierownictwa.

Wielką popularnością wśród pań cieszyły się w wielu krajach kolarstwo. O tym, że białogłowy chętnie siadały na koło świadczy fakt, iż w Niemczech w roku 1886 wyprodukowano więcej rowerów damskich niż męskich. Już w wyścigu Paryż-Rouen (1869), który zapoczątkował kolarstwo szosowe, nieznana z nazwiska Angielka zajęła 29 miejsce na 300 startujących mężczyzn. W Polsce kobiece wyścigi torowe rozgrywano od 1903 roku, najczęściej na Dynasach w Warszawie.

Kolarstwo żeńskie było jednak sportem, który budził wielkie emocje i polemiczne dyskusje w prasie. Jazda na rowerze jawiła się wówczas jako element demonstracji równouprawnienia kobiet i aprobaty przemian obyczajowych niesionych przez sport. Dama na rowerze była zwalczana przez prasę konserwatywną, ale znajdowała wiernych obrońców w wydawnictwach cyklistów:

"I nie dbam, że gorszą
Moralne indyczki
Mój rower, swoboda
I krótkie spódniczki".
("Koło", 1887)

Miłośniczki sportu kołowego znalazły swego piewce w Arturze Oppmanie, który w utworze "Cyklistka" pisał:

"Tobie to wieku dziewiętnasty
Składam swą pieśń w ofierze -
Dajesz nam obraz wprzód nieznany:
Anioła na rowerze".
("Cyklistka", 1897)

Przed I wojną światową najbardziej sportową organizacją kobiecą był Warszawski Klub Wioślarek, założony w 1912 roku. Poza wioślarstwem i nauką pływania członkinie uprawiały też gimnastykę, kolarstwo, szermierkę, tenis i inne gry sportowe. Klub urządzał regaty, konkursy pływackie i wycieczki

cd. str. 18

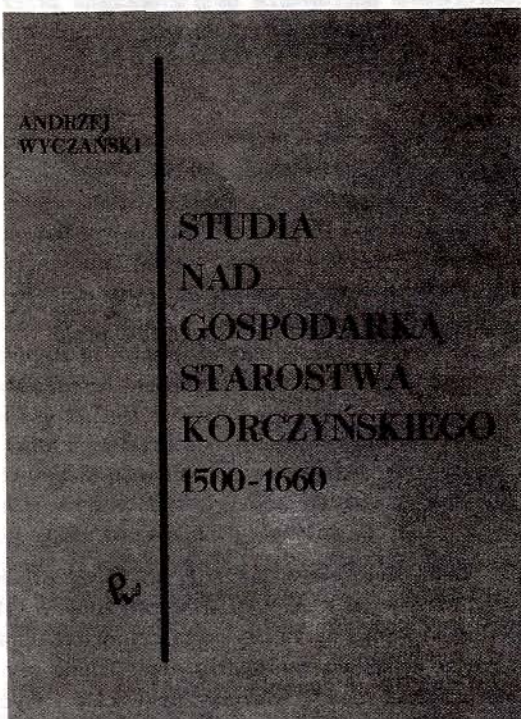


010441

na łodziach. W samym tylko sezonie letnim 1913 roku wiosłarki przepłynęły podczas konkursu wycieczkowego 8300 wiorst.

Mimo przeszkód natury politycznej, finansowej czy społeczno-obyczajowej, przed odzyskaniem niepodległości zdolano wypracować kierunki i metody wychowania fizycznego dla kobiet oraz powołać pierwsze organizacje sportowe dla pań. Na ziemię polską przenoszono wszystkie nowoczesne prądy zarysowujące się w kulturze fizycznej kobiet w Europie.

Trzeba jednak nadmienić, że siłę lub inne przymioty pań nie zawsze wykorzystywano w sposób godny pochwały – mianowicie na arenach cyrkowych. Demonstrowano tam bezsensowne często ćwiczenia, które jednak budziły sensację i... napełniały kasę. Krakowski "Przegląd Gimnastyczny" dość szczegółowo relacjonował w 1897 roku występy dwóch atletek angielskich – miss Durnet i miss Samson. "Pierwsza z nich – czytamy na łamach tego miesięcznika – kobieta niezwyklej piękności, znana pod nazwą »śpiewającej damy«, popisuje się następującym ćwiczeniem: wsparta rękami i stopami na ziemi, a twarzą do góry zwrócona trzyma na swoich piersiach i nogach drewniane podium z fortepianem oraz siedzącym przy nim grajkim, który jej do śpiewu jednocześnie akompaniuje. Druga wykonuje (...) wszelkie regulaminem piechoty objęte ćwiczenia karabinem, a nadto wzywa, gdzie się tylko pojawi, najsilniejsze kobiety na zapasy. Ostatnimi czasy jednak spotkała ją gruba niespodzianka w Białymstoku ze strony żony jednego z tamtejszych obywateli, która ją dwukrotnie, zupełnie prawdziwie o ziemię rzuciła". Jak się więc okazuje, w grodzie nad Białką nie brakowało krzepkich niewiast, które potrafiły "prawdliwie o ziemię rzucić", mimo iż nie był to najsilniejszy ośrodek sportu kobiecego.



Urszula SOJA

SENTENTIAE

Kącik "Sententiae" ma służyć przypomnieniu i poddaniu pod rozagę prawd ogólnych sformułowanych przez starożytnych Rzymian; jego celem jest: docere, delectare, movere – uczyć, bawić i poruszać, by użyć słów Horacego.

O losie

Los (fatum, fortuna) to jedna z zagadek życia ludzkiego. Niektórzy uważają, że jest on całkowicie zdeterminowany, innymi słowy "z góry zaplanowany". Jedyne co można zrobić, to w miarę pogodnie poddać się jego nieuchronnym kolejom.

Tak sądził Seneka stwierdzając "Volentem fata ducunt, nolentem trahunt" – "Chętnego los prowadzi, opornego wlecze". Tak pojęty los wykluczał jakiegokolwiek przypadek.

Inaczej wypowiadał się o losie Cezar: "Suae quisque fortunae faber" – "Każdy jest kowalem swego losu".

Myśl ta, mająca przed Cezarem długą tradycję, podkreśla znaczenie aktywności życiowej i indywidualnego wysiłku. Co jeszcze mówiły o losie znane sentencje rzymskie? Otóż los miał być ślepy (fortuna caeca est), miał sprzyjać głupcom (fortuna favet fatuis) i dzielnym (fortuna fortes adiuvat).

W tych stwierdzeniach los jest rozumiany jako szczęśliwy traf. Niekiedy podkreślano znaczenie losu jako wszechwładnego przypadku – "Fortuna nusquam non regnat" – "Los rządzi wszędzie".

DWUGŁOS W SPRAWIE...

Dwie różne opinie Małgorzaty Moroz i Aliny Czapliuk
o najnowszym podręczniku akademickim do dydaktyki historii

W ubiegłym roku ukazał się od dawna oczekiwany, nowy akademicki podręcznik dydaktyki historii. Jest to druga, po wydanej w dwudziestolecie międzywojennym "Dydaktyce Historii" Hanny Pohoskiej, publikacja roszcząca sobie prawo do miana podręcznika uniwersyteckiego. Pierwsza była efektem bujnego rozwoju myśli dydaktyczno-historycznej w Polsce po 1918 roku.

Okres powojenny okazał się mniej łaskawy – trzeba było czekać kilkadziesiąt lat na nowy, dostosowany do współczesnych trendów w dydaktyce, podręcznik akademicki. Wykorzystywane w nauczaniu uniwersyteckim w ostatnich dziesięcioleciach prace Tadeusza Słowińskiego, Czesława Szybki czy Czesława Majorka stanowiły namiastkę podręcznika, a ze względu na treści dostosowane do panującej wówczas ideologii społecznej ("kształtowanie socjalistycznego ideału wychowania") stały się nieaktualne.

Na początku lat osiemdziesiątych Jerzy Maternicki przy współpracy Czesława Majorka i Adama Suchońskiego opracował konspekt nowego, uniwersyteckiego podręcznika dydaktyki historii. Pomimo, iż konspekt nie był wolny od frazeologii minionego systemu (np.: "marksistowska refleksja nad świadomością historyczną" czy "umacnianie (...) socjalistycznego systemu wartości"), to jednak w wersji wówczas przedstawionej zawierał wszystkie istotne elementy składające się na ówczesną wiedzę z zakresu dydaktyki historii.

Przemiany ustrojowe ostatnich lat przyspieszyły powstanie podręcznika. Zapowiedzią "nowego" była opublikowana w 1990 roku praca Jerzego Maternickiego "Teoretyczne i metodologiczne podstawy dydaktyki historii". W przyszłości miała stanowić fragment rodzącego się podręcznika akademickiego. Różniła się znacznie od propozycji zawartych w konspekcie i w takim kształcie trafiła do nowego podręcznika, jako jego część: I – Teoretyczne i metodologiczne podstawy dydaktyki historii, i II – Szkolna edukacja historyczna.

Odstępstwo od wersji przedstawionej w konspekcie polegało na zerwaniu przez J. Maternickiego z tradycyjnym, zbyt wąskim – jego zdaniem – pojmowaniem przedmiotu z zadań dydaktyki historii, niegdyś "(...) umiejętności fachowej" – kodyfikującej praktyczne doświadczenie nauczycieli, wytyczającej określone normy postępowania w procesie przekazywania uczniom wiedzy historycznej, a dzisiaj, zgodnie z tendencjami dydaktyki europejskiej

Jerzy Maternicki
Czesław Majorek
Adam Suchoński

DYDAKTYKA HISTORII

Dydaktyka historii autorstwa Jerzego Maternickiego, Czesława Majorka i Adama Suchońskiego jest najnowszym opracowaniem poświęconym tej dziedzinie wiedzy.*

Autorzy opierając się na szerokiej podbudowie teoretycznej, wykorzystując rozbudowany (wydaje się, że nadmiernie) aparat naukowy jakby na siłę starają się udowodnić uniwersyteckie aspiracje swego podręcznika zniechęcając wręcz do jego przestudiowania szersze rzesze czytelników. Nie oznacza to wcale, że odradzam nauczycielom i studentom historii sięgnięcie po tę lekturę. Wręcz odwrotnie – serdecznie ją polecam. Przede wszystkim dlatego, iż po raz pierwszy mamy do czynienia z rozumieniem dydaktyki historii "jako nauki o edukacji historycznej społeczeństwa, w szczególności młodzieży – zarówno obecnie jak w przyszłości" (s. 23), co wydaje się być poniekąd oczywiste u schyłku XX wieku, gdy szkoła stanowi zaledwie jeden z elementów owej edukacji.

Znalazło to swe odbicie w koncepcji książki, w której z czterech oddzielnych części zaledwie jedna dotyczy nauczania historii w szkole bezpośrednio, dwie inne zaś jedynie w sposób pośredni. Niewiele nowego można dowiedzieć się choćby o metodach nauczania, zwłaszcza tych konwencjonalnych, więcej – o metodach związanych z nauczaniem problemowym. Szczególnie dużo miejsca poświęcono zagadnieniom terminologicznym, porządkując je i przedstawiając nie tylko w odniesieniu do Polski, ale i państw zachodnioeuropejskich oraz Stanów Zjednoczonych.

Podsumowując warto jeszcze raz podkreślić nowy sposób podejścia do omawianych kwestii, odmienny od tego, co spotykaliśmy dotychczas w podręcznikach metodyki czy dydaktyki (termin "metodyka" przejęto w latach 60-tych wprost z terminologii obowiązującej w Związku Radzieckim i często stosowano wymiennie z terminem "dydaktyka"). Zaprezentowany podręcznik nie ma charakteru poradnika, w którym nauczyciel-praktyk może znaleźć rozwiązanie konkretnych problemów metodycznych, nie jest to też na pewno podręcznik, który czyta się łatwo. Zachęcam jednak do odwiedzenia biblioteki (w księgarniach niestety jest on już nie do zdobycia) i odrobiny wytrwałości w lekturze.

Alina Czapliuk

* J. Maternicki, Cz. Majorek, A. Suchoński, Dydaktyka historii, PWN, Warszawa 1993.

(zwłaszcza RNF, Francja, Holandia, Włochy) "nauki stosowanej historii", subdyscypliny historycznej zajmującej się problematyką upowszechniania wiedzy historycznej, jej społeczną recepcją, społecznym obiegiem różnych form przekazu historycznego, ich miejscem i rolą w edukacji historycznej społeczeństwa, wpływem na jego świadomość historyczną.

Ambitne zadania z pogranicza historii i socjologii stawiane współczesnej dydaktyce historii znalazły swoje odbicie w konstrukcji podręcznika. Rozważania na powyższe tematy stanowią ok. 50% jego objętości. J. Maternicki uzasadnia to tym, że jako zagadnienia nowe, słabo dotąd opracowane w literaturze, wymagały szerszego, analitycznego potraktowania.

Tymczasem w założeniu autorów głównymi odbiorcami podręcznika mieli być studenci historii przygotowujący się do pracy w szkole i nauczyciele przedmiotu. Wydaje się wątpliwe, aby te środowiska były szczególnie zainteresowane zagadnieniami czysto teoretycznymi, którym poświęcono tak wiele miejsca w częściach pierwszej i drugiej. Z pewnością istnieje potrzeba szerszego spojrzenia na przedmiot i zadania dydaktyki historii, i dobrze, że takie badania są prowadzone, ale tak szczegółowe rozważania zamieszczone w podręczniku uniwersyteckim zainteresują raczej wąskie grono specjalistów niż oczekujących konkretnych propozycji dydaktycznych studentów i nauczycieli. To, co mogłoby ich autentycznie zainteresować, a więc treści rozdziałów trzeciego i czwartego poświęcone metodom, technikom i strategiom dydaktycznym (autor: Czesław Majorek) oraz środkom dydaktycznym w nauczaniu historii (autor: Adam Suchoński), zostało przedstawione nazbyt syntetycznie, ogólnikowo, ponieważ – zdaniem autorów – poruszają problemy znane, dobrze opisane w literaturze. Zachwiane proporcje między poszczególnymi częściami podręcznika było więc świadomym zamysłem autorów.

Tymczasem, jak sądzę, większość studentów i nauczycieli byłaby zainteresowana formą podręcznika stosowaną w dydaktyce anglosaskiej, wyłamującej się z awangardowej dydaktyki europejskiej. "(...) Anglosasi używają najczęściej pojęć "nauczanie historii", "uczenie się historii", "kształcenie historyczne". W dziełach noszących takie tytuły ukryta jest przede wszystkim treść praktyczna, obejmująca wskazówki dla nauczycieli historii, nakreślająca cele kształcenia historycznego i sposoby konstruowania programów nauczania, opisujące metody, a właściwie techniki nauczania, stosowanie środków dydaktycznych, wykorzystywanie lokalnego środowiska historycznego w procesie nauczania, środków masowego przekazu itd." Słowem – jak pisze J. Maternicki – dydaktyka historii w Anglii nie wykazuje większych ambicji teoretycznych.

Polski podręcznik roku 1993 dowodzi, że dydaktyka historii w Polsce nie jest z pewnością tych ambicji pozbawiona, ale co z rozbudowanej i nadmiernie wyeksponowanej teorii wynika dla studenta i nauczyciela – praktyka?

Małgorzata MOROZ



UWAŻAJ, NA CZYM SIĘ WZORUJESZ!

Wojciech FEDOROWICZ

Historia Europy 1945–1992 – historia dwóch różnych części kontynentu

Książka Waltera Laqueura "Historia Europy 1945–1992", która ukazała się nakładem londyńskiego wydawnictwa Puls Publications Ltd. w końcu ubiegłego roku wymaga nieco szerszej prezentacji niż tylko półka księgarska. Jest to już 112 propozycja książkowa w ogólnym dorobku oficyny i równocześnie jedenasta ze stosunkowo niedawno wydzielonej serii poświęconej historii. Wydawnictwo to przyzwyczało nas do książek ambitnych i znaczących, starając się przybliżyć polskiemu czytelnikowi to co jest godne uwagi z dorobku autorów polskich, jak również i zachodnioeuropejskich w szerokim tego słowa znaczeniu. Warto w tym miejscu podkreślić fakt następujący, że Puls Publications Ltd. pierwotnie stanowił przedstawicielstwo zagraniczne drugoobiegowego polskiego wydawnictwa pod nazwą CDN... i dlatego też nie budzi naszego zdziwienia tak duży dorobek wydawniczy. W nich oczywiście można dostrzec pozycje wzbudzające żywe dyskusje co do ich wartości naukowej, ale należy pamiętać, że kierujący tym przedsięwzięciem mieli i mają na celu prezentację książek dla szerokiego kręgu odbiorców, a nie tylko dla wąskiej grupy badaczy tej czy innej dziedziny nauki.

"Historia Europy 1945–1992" Waltera Laqueura zasługuje na naszą uwagę z kilku powodów. Po pierwsze – jest to opraco-



wanie o charakterze syntezy. Tak się składa, iż w polskiej historiografii okresu, który obejmuje prezentowana książka, polski czytelnik praktycznie na dzień dzisiejszy nie ma dobrego odpowiednika. Owszem są opracowania, ale każdy kto interesuje się historią najnowszą ma pełną świadomość co do ich wartości – albo już się zdeaktualizowały, bo pisane były przecież w minionym czasie zdominowanym przez ideologię albo też stanowią niedoskonałe jeszcze ujęcia (tyczy się to pozycji wydanych w ostatnim okresie), próbując uchodzić za syntezę, a w rezultacie skupiają się tylko na wybranych problemach z historii Europy. W tej sytuacji pozycja ta jest wielce pożyteczna bo stanowi ogniwo pośredniczące między tym co już napisano i tym co przyniesie nam najbliższa przyszłość w postaci syntezy dziejów najnowszych powszechnych opracowanych przez polskich historyków. Po drugie – książka Waltera Laqueura jest przykładem ujęcia historii w "stylu zachodnim" co sprowadza się do prezentacji rozwoju cywilizacji i co ten rozwój determinuje, oczywiście z odpowiednim rozłożeniem poszczególnych akcentów. Dla polskiego odbiorcy przyzwyczajonego do naszej tradycyjnej twórczości historycznej, trzymającej się reguły sztywnych kanonów to książka na pewno inna, zaskakująca oraz być może kontrowersyjna, ale równocześnie dająca możliwość zapoznania się z tym jak piszą "w świecie" i jak można pisać o historii aby była ona ciekawa. I wreszcie, po trzecie – według piszącego te słowa chyba najważniejsze – to problem, jak widzi historyk zachodni (bo W. Laqueur niezawodnie nim jest chociaż urodził się we Wrocławiu) wzajemne relacje między podzielną do 1989 roku Europą na Wschodnią i Zachodnią.

Otoż Europa Zachodnia zaprezentowana w tej książce to Europa skazana pierwotnie po II wojnie światowej w powszechnej opinii na byt drugoplanowy, wręcz na upadek a następnie poprzez dokonanie niebywałego wysiłku Europa dźwigająca się ze zniszczeń i wypracowująca nowy model funkcjonowania. Wysiłek ten i towarzyszące jemu sukcesy stały się powodem zaistnienia postaw samozadowolenia, przekonania o własnej doskonałości. Dla takiej Europy nic nie jest jej w stanie zagrozić ani też nie ma problemu, z którym by sobie nie poradziła. Inaczej natomiast wygląda Europa Wschodnia – całkowicie poddana dominacji wielkiego mocarstwa, niesamodzielna i zresztą bardzo ogólnikowo przedstawiona przez autora. Praktycznie cały opis ukazujący drugą stronę kontynentu sprowadza się do suchej relacji faktów i w tym miejscu dodajmy nie pozbawionym szeregu błędów merytorycznych. Czytając tę książkę odnosi się wrażenie, że autor nie bardzo wie jak ostatecznie zakreślić granice wzajemnego współistnienia między tymi dwoma częściami Europy. I oto nagle przyszedł rok 1989, rok, w którym Mur Berliński przestał być symbolem podzielonej Europy, rok, który przyniósł ze sobą pytanie – czy istniejący przez czterdzieści pięć lat podział kontynentu na dwie odrębne strefy w sensie politycznym, społecznym i kulturalnym jest już przeszłością czy też nie. Laqueur daje nam odpowiedź jasną, że podział ten istnieje nadal ponieważ Europa Zachodnia tak naprawdę nie była przygotowana do tego wydarzenia, nie była i nie jest w stanie zrozumieć zachodzących przemian. Cytowane słowa autora w notce odredakcyjnej potwierdzają ten stan rzeczy: "Droga do jedności europejskiej to nie Pola Elizejskie – prosty bulwar z widocznym od samego początku Łukiem Triumfalnym na końcu".

I może już końcowa refleksja-pytanie: gdzie tkwi przyczyna owego podziału, gdy runęły wszystkie sztuczne bariery podtrzymujące go? Na te pytanie odpowiedź znajduje się w książce Waltera Laqueura, w książce o dwóch różnych częściach kontynentu europejskiego.

Wojciech Fedorowicz



PREZENTACJE ZAPOWIEDZI

Janusz SMYKOWSKI

KLUB SZLACHECKI W WILNIE W LATACH 1856-1863

Powstanie Klubu Szlacheckiego w Wilnie w 1856 r. wiąże się z przybyciem na Litwę generała-gubernatora Włodzimierza Nazimowa. Nazimow od razu stał się uosobieniem nowego kursu w polityce wewnętrznej Petersburga. Do powstania stycznioowego władze guberni czyniły pojedyncze gesty wobec ziemianstwa polskiego. Takim sposobem na przełamanie niechęci ziemian do administracji rosyjskiej na Litwie miało być m.in. założenie Klubu Szlacheckiego. O tej nowej postawie Rosjan do miejscowej społeczności tak pisze we wspomnieniach Seweryn Romer: "Nazimow przystępny, uprzejmy, podtrzymywał nadzieje. Bibikow (poprzedni gubernator - J.S.) ni razu nie mógł się zbliżyć z całym obywatelstwem. Nazimow przeciwnie, znalazł dawną swoją przyjaciółkę z Morykonich Łopacińską i tak zręcznie rzeczy pokierował, że na przyjazd jego żony Anastazji Aleksandrowny w maju 1856 r. zjechała się szlachta z czterech guberni z żonami i córkami. Początek rządów Nazimowa zaczął się od świetnego balu w salach domu Mullerów. Na tym balu powstał Klub Szlachecki Wileński i wkrótce utworzyła się dyrekcja klubu w najbliższych rozmowach z generałem zostająca."

Przez pierwsze lata klub działał nieformalnie z inspiracji gubernatora, gdyż zatwierdzenie ustawy Klubu Szlacheckiego przez Nazimowa miało miejsce dopiero 12.XI.1859 r. Podstawowym jego celem była organizacja życia towarzyskiego w

Wilnie. W pomieszczeniach klubowych znajdowały się: restauracja, biblioteka, czytelnia, sale do gier, sala balowa. Do klubu mogli należeć: szlachta, urzędnicy wojskowi i cywilni, duchowieństwo, honorowi obywatele miasta, cudzoziemcy, kupcy 1 i 2 gildii. Tak więc jego członkami mogły być osoby spoza grona szlachetnie urodzonych. Podstawowym warunkiem uczestnictwa w klubie było opłacenie składki rocznej w wysokości 18 rubli. Możliwość korzystania z pomieszczeń klubowych miały też inne osoby za opłatą dzienną 50 kopiejek, za wyjątkiem byłych członków, którzy w terminie nie uregulowali składki rocznej. Oprócz tego płacono także za prawo uczestnictwa w grach - karcianych - od 60 kopiejek do 2 rubli, bilardowych - 3 kopiejki za partię, rubel za abonament miesięczny, 5 rubli - za roczny. Czasami w pomieszczeniach klubowych organizowano koncerty. Wówczas występujący artysta płacił do 10% dochodu z koncertu "stosując się do wiaryści w opinii publicznej". Klub Szlachecki miał monopol na organizowanie zabaw publicznych: "Bez zezwolenia dyrekcji klubu nikt nie ma prawa dawania w Wilnie balów publicznych, wieczorów z tańcami i innych zabaw".

Do uczestnictwa w Klubie Szlacheckim trzeba było być zgłoszonym przez jego członka na specjalnej tablicy. Na Zgromadzeniu Ogólnym członków klubu (nie mniej niż 30 osób) następowała aprobata większością głosów. Opuszczenie klubu mogło nastąpić przez rezygnację w grudniu każdego roku lub przez usunięcie za niewłaściwe zachowanie lub brak opłaty składki rocznej.

Nad funkcjonowaniem klubu czuwała dyrekcja złożona z dyrektorów czuwających nad finansami, biblioteką, majątkiem klubu. Ze swojej działalności składali oni swym członkom miesięczne raporty.

Zachowały się ślady po działalności klubu we wspomnieniach, korespondencji, drukowanych biletach wstępu na bale resursowe, zaproszenia na Zgromadzenie Ogólne członków, bilety roczne, zawiadomienia o bieżącej działalności klubu. Z drukowanych corocznie list członków dowiadujemy się że w roku 1859/1860 liczył on ok. 240 członków a w roku 1862/1863 ok. 170.

Protector klubu, gen. Nazimow cieszył się niezmiennie dobrą opinią u ziemianstwa mimo wyskoków, jakie mu się zdarzały także w czasie imprez klubowych:

"Kiedy więc Hornowski (dyrektor klubu) stoi u otwartej bramy, a tu wbiega jakiś student w mundurze. Za studentem podskakuje żandarm i chwytą go za kołnierz. "Co to jest?" - pyta dyrektor, "Chłopców nie wolno wpuszczać" - odpowiada żandarm, "Ale jakże ty śmiesz ściągać rękę na chłopczyka w mundur szlachecki ubranego? Czy wiesz jaka cię za to czeka odpowiedzialność?" Pęten godności pan Wincenty wziął chłopczyka za rękę i poszedł dalej (...) Adjutant Nazimow musiał o wszystkim generała uprzedzić, bo gdy nadszedł nasz dyrektor z chłopakiem i zaczął zdarzenie opowiadać, zmarszczył się generał - Mołczał! - Na ten głos Hornowski aż się postaniał, myśląc, że spotkał się z uderzeniem obucha "Jak to Pan śmiałeś chłopca wyrwać z rąk żandarma? Czy wiesz kto to żandarm? Żandarm to policja - to ja - to gosudar!" Argumenty Hornowskiego, że ujął się za chłopcem jako dworjanin, towarzysz zabaw generała, dyrektora klubu, nie pomagała. Odzywając się Hornowskiego wprowadziło generała w rozdrażnienie - Mołczał! Ja was niedouczonych nauczę ja was wszystkich przepędzę, wasze mnie towarzystwo niezdolne, wołę z Żydami." (...) Wszyscy o tym wiedzieli ale wzięli stronę Nazimowa: "Musi Hornowski być

PREZENTACJE, ZAPOWIEDZI

winien, kiedy najlepszego Nazimowa obraził". Zaczęto usuwać się od Wincentego i na drugi rok nie obrano go dyrektorem klubowym, aby poznać generała, że publiczność ma swoje zdanie".

Jeden z ostatnich obiadów klubowych odbył się na wyrażenie życzenia Nazimowa 21 kwietnia 1863 r. na pożegnanie gubernatora cywilnego wileńskiego:

"Obywateli wileńskiej guberni zaledwo 5 osób. Ale za to wiele wojskowych i urzędników, nie mała też lista Żydów. Przy tym znajdował się biskup wileński Krasieński z dwoma prałata-mi. Greko-rosyjskiego duchowieństwa nie było". Widoczne całkowite niemal odsunięcie się społeczności ziemiańskiej od uczestnictwa w oficjalnych przyjęciach i od życia publicznego, mimo że gubernatorem wojennym wciąż jeszcze pozostawał "nasz ukochany" Nazimow. Ta absencja nie była wynikiem zmiany stosunku do generała a raczej do ogólnej sytuacji politycznej, którą Nazimow również kształtował wykonując polecenia Petersburga. Utworzony m.in. w celu przyciągnięcia ziemianstwa do rządu Klub Szlachecki przestał działać z chwilą, gdy w Wilnie pojawił się nowy wojskowy generał - gubernator Michaił Murawiew.



Maciej KARCZEWSKI

ZAPROSZENIE NA WYSTAWĘ "STAROŻYTNOŚCI LITWY"

W dniu świętego Kazimierza - 4 marca 1994 roku, w Państwowym Muzeum Archeologicznym w Warszawie miało miejsce uroczyste otwarcie wystawy "Starożytności Litwy". Wzięli w nim udział licznie przybyli przedstawiciele polskiej archeologii oraz archeolodzy z Muzeum Narodowego Litwy w Wilnie. Obecni byli również goście z Ambasady Litwy w Polsce.

Otwarcie wystawy uświetnił występ zespołu folklorystycznego z Sejny, który zaprezentował zwiedzającym litewskie pieśni i tańce ludowe.

Wystawa "Starożytności Litwy" prezentuje po raz pierwszy polskiej publiczności zbiór kilkuset zabytków pochodzących z kolekcji Muzeum Narodowego Litwy w Wilnie. Stanowią one, wraz z bogatą częścią ilustracyjną, podsumowanie dotychczasowych badań nad najstarszymi dziejami Litwy. Przez pryzmat zgromadzonych na wystawie eksponatów zwiedzający mogli nie tylko zapoznać się z oryginalną kulturą materialną przodków dzisiejszych Litwinów. Mogli też odkryć bogatą i jakże odbiegającą od współczesnych wyobrażeń, sferę kultury duchowej ludu, który jako ostatni w Europie przyjął chrześcijaństwo.

Oglądając wystawę poświęconą najstarszym dziejom ziem litewskich, nie można zapominać, iż poważny wkład w rozwój zainteresowań starożytnościami tych ziem wniosła nauka polska. Jeszcze przed wybuchem powstania stycznioowego hrabia Eustachy Tyszkiewicz utworzył w Wilnie, ciesząc się dużą popularnością, Muzeum Starożytności. Zostało ono zamknięte przez władze carskie w ramach represji popowstaniowych. Pod koniec XIX wieku Zygmunt Gloger poszukiwał wzdłuż Niemna "stacji krzemiennych", a relacje z tych poszukiwań zamieścił w jednym z rozdziałów książki "Dolinami rzek", opublikowanej w 1903 roku. W rok później ukazało się w Warszawie dzieło Aleksandra Brücknera: "Starożytna Litwa". Okres międzywojenny przyniósł rozwój badań archeologicznych w dawnych województwach nowogródzkim i wileńskim. Prowadzili je zarówno archeolodzy warszawscy, jak też badacze z Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie. Kierownictwo powstałej w jego ramach katedry prahistorii miał objąć, wybitny, polski archeolog Konrad Jażdżewski. Przeszkodził mu w tym wybuch II Wojny Światowej.

Układ polityczny, jaki zapanował po 1945 roku w Europie środkowo-wschodniej, uniemożliwił dalszy rozwój zainteresowań archeologów polskich starożytnościami Litwy. W ciągu niemal pół wieku nie doszło też do nawiązania bliższej współpracy z archeologami litewskimi. Otwarta 4 marca wystawa zmieniła ten stan rzeczy, stając się, według deklaracji zarówno strony polskiej jak i litewskiej, punktem wyjścia wielu wspólnych przedsięwzięć naukowych.

Autorką scenariusza i koncepcji wystawy jest pracownica Muzeum Narodowego Litwy w Wilnie - Egle Griciuvienė. Organizacją wystawy zajmowała się Anna Bitner-Wróblewska z Działu Bałtów Państwowego Muzeum Archeologicznego w Warszawie. Efektem ich pracy jest ciekawa ekspozycja prezentująca dzieje ziem litewskich od momentu pojawienia się pierwszych gromad ludzkich do chwili, gdy ukształtowane już plemiona litewskie zaczęły łączyć się w jedno państwo.

Poza niepowtarzalnością zgromadzonych eksponatów, dodatkowym atutem wystawy jest opracowany na wysokim poziomie edytorskim przewodnik. Obok zwięzłej historii Muzeum Narodowego Litwy w Wilnie oraz prezentacji dziejów Litwy od epoki kamienia do średniowiecza, zawiera on, przeznaczony nie tylko dla osób związanych z archeologią bałtyjską, katalog zabytków oraz opis stanowisk archeologicznych.

Wystawę w Państwowym Muzeum Archeologicznym w Warszawie będzie można oglądać do 30 czerwca 1994 roku. Istnieją duże szanse, iż z Warszawy trafi ona do Muzeum Okręgowego w Białymstoku. Będzie ją można tu zobaczyć w miesiącach wakacyjnych.



Z ŻYCIA INSTYTUTU HISTORII

Jubilat

10 marca tego roku profesor Michał Gnatowski ukończył 60 lat. Wraz z kwiatami od pracowników Instytutu Historii otrzymał życzenia na następne 60-lecie, co w tym przypadku wcale nie było formułą okolicznościową, jako że Profesor pochodzi z długowiecznej rodziny. Potwierdza to także fakt, iż od lat Jubilat nie zmienia się fizycznie – wygląda tak jak przybył do nas 19 lat temu (ale ten czas leci!).

Naukowo ciągle rozwija się: wzrok i słuch miast słabnąć, wystrzają się i w działalności partyzantki polskiej oraz radzieckiej w czasie ostatniej wojny dostrzegają coraz to inne aspekty. Z młodzieńczą werwą tropi i odkrywa nowe źródła chowane dotychczas skrytynie w zagranicznych, głównie białoruskich, archiwach. Ostatnio nawet tamtejsi archiwiści, chcąc osłabić tempo prac Profesora, podnieśli wysoko ceny odbitek kserograficznych, ale zapewne i na to znajdzie sposób. Nic więc dziwnego, że najlepsze prace Jubilata powstały po pięćdziesiątce, a jest to tylko uwertura do tego, co ma teraz na warsztacie.

Daje się też zauważyć, że ludzie, którzy przyjaźnią się z Profesorem często awansują i to wysoko. A zaczęło się to już kilkadziesiąt lat temu w Moskwie, gdzie równolegle ze studentem Gnatowskim uczył się na prawnika niejaki Michał Gorbaczow, no i proszę – został prezydentem Rosji. Przyjaźni z M. Gantowskim profesorowi Mieczysławowi Wrzaskowi zaowocowała już trzecią kadencją dziekańską. Wystarczyło, że prof. Adam Dobroński odziedziczył po Jubilate jego dawny gabinet i ... został ministrem.

Jubilat ma w swoim Zakładzie wielu młodych (nawet po czterdziestce!), zdolnych ludzi, ale niech się nie spieszą – na przejęcie sukcesji mają jeszcze czas, bo przecież Profesora w tak dobrej kondycji nikt nie wyśle na emeryturę przed osiemdziesiątką. Chyba, że ... powstanie wcześniej uniwersytet w Łomży i jako prezes Łomżyńskiego Towarzystwa Naukowego im. Wągów stanie na jego czele (a doświadczenia z kilku kadencji prorektorskich są!).

Z prof. Michałem Gnatowskim warto przyjaźnić się i dlatego, że z wyjazdów do zagranicznych archiwów obok notatek i odbitek ksero przywozi wybrane koniaki. Studenci nie mogą jednak o tym przekonać się z prostej przyczyny – Profesor ma zbyt liczne seminaria.

J.J.M.



25.02.1994 r. prorektor Uniwersytetu Warszawskiego Filii w Białymstoku prof. Władysław A. Serczyk wygłosił wykład otwarty pt. "Drogi i manowce historii ukraińskiej".

18.03.1994 r. gościliśmy w Instytucie Historii dwóch wybitnych historyków: prof. Antoniego Mączaka z wykładem "Przestrzeń i władza w dawnej Rzeczypospolitej" oraz prof. Andrzeja Wyczańskiego z wykładem "Spojrzenie historyka na wiek XVI".

22.03.1994 r. odbyła się promocja nowej książki prof. Adama Dobrońskiego "Łomża w latach 1866–1918".

22.03.1994 r. miało miejsce zebranie sprawozdawczo-wyborcze oddziału białostockiego P.T.H. Sprawozdanie z minionej kadencji złożył ustępujący prezes prof. Władysław A. Serczyk. Nowym prezesem wybrano prof. Henryka Rućńskiego.

Studia zaoczne i podyplomowe

Wszystkich miłośników historii a także tych, którzy muszą ją zgłębiać z konieczności, zapraszamy do podjęcia studiów zaocznych lub podyplomowych w Instytucie Historii Filii UW. Egzaminy na zaoczne studia magisterskie w br. rozpoczynają się w dniu 7 czerwca (wtorek). Będzie to egzamin ustny ze znajomości historii Polski na tle dziejów powszechnych. Wykaz zagadnień egzaminacyjnych można nabyć w sekretariacie Instytutu. Opłata za 1 semestr studiów zaocznych, która obecnie wynosi 2 mln złotych, może w następnym roku akademickim ulec niewielkiemu zwiększeniu.

Jednocześnie informujemy, iż Instytut Historii prowadzi także studia podyplomowe dla mgr historii (3-semestralne) oraz absolwentów innych kierunków studiów (4-semestralne) dające uprawnienia do nauczania historii. Obecnie opłaty za studia podyplomowe wynoszą odpowiednio 1–5 – 2 mln złotych za semestr. W br. akademickim zajęcia w Studium Podyplomowym m.in. prowadzili: prof. prof. Adam Dobroński, Michał Gnatowski, Juliusz Łukasiewicz, Adam Manikowski, Antoni Mączak, Henryk Samsonowicz, Władysław A. Serczyk, Ewa Wipszycka-Bravo, Andrzej Wyrobisz i Andrzej Wyczański.

Pożądanym byłoby, aby chętni do podjęcia studiów zaocznych złożyli dokumenty (podanie, życiorys, kwestionariusz osobowy, 3 zdjęcia, świadectwo dojrzałości) do 15 maja br., zaś podyplomowych (podanie, kwestionariusz osobowy, 1 zdjęcie, odpis dyplomu) do 30 maja br.

J.J.M.

Wykaz publikacji historycznych, które są na stanie magazynowym w DZIALE WYDAWNICTW FUW w Białymstoku przy ul. Mazowieckiej:

1. M. Wrzosek. "Wojsko Polskie i operacje wojenne lat 1918-1921"
rok wyd. 1989 Cena: 650 zł
2. "Studia Podlaskie" t. II
rok wyd. 1990 Cena: 10.000 zł
3. J. Milewski "PPS w woj. białostockim w latach 1918-1939"
rok wyd. 1990 Cena: 3.000 zł
4. "Studia Podlaskie" t. I
rok wyd. 1991 Cena: 15.000 zł
5. "Studia Podlaskie" t. II
rok wyd. 1991 Cena: 10.000 zł
6. Zeszyt Naukowy Nr 56 t. X Dz. H.
rok wyd. 1991 Cena: 5.000 zł
7. H. Parafianowicz "Polska w europejskiej polityce St. Zjedn. w okresie prezydentury Herberta C. Hoovera (1921-1933)"
rok wyd. 1991 Cena: 10.000 zł
8. J. Maroszek "Targowiska wiejskie w koronie polskiej w II połowie XVII i w XVIII w."
rok wyd. 1991 Cena: 9.000 zł
9. C. Kukło "Rodzina w XVIII w. Warszawie"
rok wyd. 1991 Cena: 18.000 zł
10. C. Kukło "Les modeles familiaux en europe aux XVI-XVIII siecles"
rok wyd. 1990 Cena: 30.000 zł
11. "Miasto, region, społeczeństwo" - poświęcona Prof. A. Wyrobiszowi
rok wyd. 1990 Cena: 50.000 zł
12. Zeszyt Naukowy Nr 76 t. XI. Dział H.
rok wyd. 1993 Cena: 30.000 zł
13. "Studia Podlaskie" t. IV.
rok wyd. 1993 Cena: 50.000 zł
14. Józef Maroszek "Prawa, przywileje i źródła historyczne do dziejów miasta i dóbr Zabłudów" (w druku)

W BIBLIOTECE PAMIĘCI I MYŚLI ukazały się następujące książki:

1. WILNO JAKO OGNISKO OŚWIATY W LATACH PRÓBY. ŚWIADECTWA O SZKOLE LAT 1939-1945. Zebr. i zred. Elżbieta Feliksiak i Marta Skorko-Barańska. (1991) - wyczerpane
2. TOBIE WILNO. ANTOLOGIA POETYCKA. Wybór i red. Elżbieta Feliksiak, Marta Skorko, Paweł Waszak. Wyd. II rozszerzone (1992)
3. WILNO-WILEŃSZCZYZNA JAKO KRAJOBRAZ I ŚRODOWISKO WIELU KULTUR. Materiały I Międzynarodowej Konferencji w Białymstoku 21-24 IX 1989 r. Red. Elżbieta Feliksiak (1992)
Tom I. Krajobraz i ludzie.
Tom II. Historia i pamięć.
Tom III. Nauka, oświata, wychowanie.
Tom IV. Literatura i język.
4. JAN SIEMIŃSKI. Grodno walczące Wyd. II rozszerzone. Oprac. Teresa Zaniewska (1992)
5. ELŻBIETA KONONCZUK. Mazurska obecność Erwina Kruka (1993)
6. O POEZJI KAROLA WOJTYŁY. pr. zbior. pod red. Elżbiety Feliksiak. Białystok 1991

w przygotowaniu:

1. ALINA ULIŃSKA, WACŁAW STASZEWSKI. Państwowe Liceum im. J. i J. Śniadeckich w Wilnie (1938-1939). Oprac. E. Feliksiak
2. ZOFIA BOHDANOWICZOWA. Rapsody litewskie. Wstęp i oprac. Violetta Wejs-Milewska
3. JERZY URBANKIEWICZ Trzeci dzień purgi
4. ANIELA DZIEWULSKA-ŁOSIOWA "KRYSZYŃA". Konwój strzela bez uprzedzenia.
5. WILNO JAKO OGNISKO OŚWIATY W LATACH PRÓBY. ŚWIADECTWO O SZKOLE LAT 1939-1945. Zebr. i zred. Elżbieta Feliksiak i Marta Skorko-Barańska. Wyd. II rozszerzone.
6. ELŻBIETA LAPRUS. Przelatłe ścieżki (dzieciństwo jako świat zapamiętanych wartości).
7. HALINA KRUKOWSKA. Nocna wyobraźnia romantyków.
8. ETHOS LITERATURY NA POGRANICZU KULTUR. Praca zbiorowa, red. Małgorzata Gawrychowska-Sowul.
9. ELŻBIETA FELIKSIK. Długie czuwanie (Wilno-pamięć-literatura)

Nasze książki można nabyć w hurtowniach i księgarniach oraz (cykl "non omnis moriar") w siedzibach Towarzystwa Miłośników Wilna i Ziemi Wileńskiej oraz Towarzystwa Przyjaciół Grodna i Wilna. Zamówienia nadsyłać można również na adres wydawcy: 15-420 BIAŁYSTOK, ul. Liniarskiego 4.

Dziękujemy najserdeczniej Wszystkim, którzy wspierają finansowo "Bibliotekę Pamięci i Myśli".

Nasze konto: Towarzystwo Literackie im. A. Mickiewicza
Oddział Białostocki
PBK SA. I O/Białystok nr 370406-3492-132

